

OBRAZKI HISTORYCZNE

Z CZASÓW

OSTATNIEGO KRÓLA POLSKIEGO

STANISŁAWA PONIATOWSKIEGO

Z RÓŻNYCH DZIEŁ ZŁOŻONE.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘDZA BAŻYŃSKIEGO.

W komisie N. Kamińskiego i Spółki.

1867.

BIBLIOTEKA UNIW. W POZNANI



228987

Wypożycza się
tylko do czytelní

OBRAZKI HISTORYCZNE

Z CZASÓW

OSTATNIEGO KRÓLA POLSKIEGO

STANISŁAWA PONIATOWSKIEGO

Z RÓŻNYCH DZIEŁ ZŁOŻONE

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIEDZA BAŻYŃSKIEGO.

W komisíe księgarni N. Kamieńskiego i Spółki.

1867.



Dar Teresy Zółtowskiej
Puszczykówko

OBRAZKI HISTORYCZNE

Z CZASÓW

OSTATNIEGO KRÓLA POLSKIEGO

STANISŁAWA PONIATOWSKIEGO

Z RÓŻNYCH DZIEŁ ZŁOŻONE.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘDZA BAŻYŃSKIEGO.

W komisie N. Kamińskiego i Spółki.

1867.

2289871

Spis rzeczy.

	stronnica.
I. Sejm konwokacyjny. 1764 r.	3.
II. Sejm elekcyjny	17.
III. Koronacya Króla.	26.
IV. Porwanie senatorów r. 1767.	33.
V. Konfederacya Barska 1768 r.	44.
VI. Książd Marek.	53.
VII. Kazimierz Puławski.	65.
VIII. Puławski w Częstochowie.	80.
IX. Antoni Morawski.	93.
X. Józef Zaremba.	118.
XI. Porwanie Króla 3 listop. 1771 r.	143.
XII. Jak wyglądali konfederaci?	152.
XIII. Dyplomaci i jeneralność.	154.



Czcionkami A. Schmädickego w Poznaniu.

I. Sejm konwokacyjny.*)

1764r.

August III., przedostatni król Polski z domu saskiego, umarł w Październiku 1763 r. w Dreźnie w sam czas, bo wielka nad jego głową zbierała się burza, któraby go była mogła strącić z tronu. W Polsce, już od Henryka Walezego r. 1572 a więc dwieście blisko lat, nie był tron dziedziczny, aby syn po ojcu, lub krewny jaki następował, ale szlachta po śmierci jednego, obierała nowego króla. W takim położeniu rzeczy trudno o zgodę i jedność; przy każdym oborze tworzyły się w narodzie ró-

*) Jako my dzisiaj posyłamy deputowanych na sejmy, radzące nad dobrem i pożytkiem państwa i poddanych, tak sejmy odbywały się od dawna w Polsce. Sejmy te różnie się nazywały, podług tego jakie miały zadanie do wykonania. *Konwokacyjnym*, nazywał się Sejm, który miał się naradzić nad oborem przyszłego króla: jakim ma być król, jakie prawa i obowiązki ma zaprzysiądz, tak zwane po łacinie *pakta konwenta*, ułożone stósownie do potrzeb czasu: na kiedy oznaczyć termin wyboru. *Konwokacyjny*, ten wyraz pochodzi od łacińskiego słowa *Convocare* które znaczy zwoływać.

żne partye, stronnictwa, z których każde swego kandydata na tronie posadzić chciało. Był to wielki błąd i słabość w urzędzeniu Polski, boć się przez to niezgoda i waśń wkraśniała niezagasła między dzieci jednej ojczyzny; obce rządy mieszały się do wyborów króli i kupowały grubemi pieniędzmi sumienia, a ztąd niezawsze król silny i mądry, któryby umiał dobrymi rządami uszczęśliwić naród, zasiadał na tronie. Tak się téż i tym razem stało.

Potworzyły się w kraju różne partye, jedna tego, druga innego popierające króla. Dwie były najznaczniesze: Czartoryskich i partya hetmańska, na której czele stał hetman wielki litewski, Jan Branicki, i ksiązę Radziwiłł, znany pod przydomkiem „Panie kochanku“. Czartoryscy starali się przeprowadzić jednego ze swój rodziny. Partya hetmańska przedstawiła na tron syna elektora saskiego, a kiedy ten umarł na ospę, hetmana Branickiego, męża znakomitego z majątku, rodziny, wziętości i patriotyzmu, oraz wsławionego wielu chlubnymi czynami. Inne pomniejsze stronnictwa pomijamy, bo się nie długo ostały w obec tych dwóch najpotężniejszych. Czartoryscy mieli za sobą Moskwę, która już za poprzednich monarchów ustawicznie do spraw polskich się mieszała. Stronnictwo hetmańskie zaś miało więcej poparcia w kraju.

Arcybiskup Gnieźnieński, Władysław Łubieński, rządząc jako prymas kraju podczas bezkrólewia, nakazał na sejmikach powiatowych wybrać posłów do sejmu konwokacyjnego. Czartoryscy wszystkimi sposobami starali się na tych sejmikach przeprowadzić posłów przychylnych sobie, aby mieć większość na sejmie i ich głosami swego kandydata przeprowadzić. Silnej pomocy tak w pieniądzach jak wojsku dała im carowa moskiewska Katarzyna, przeznaczywszy już z rodziny Czartoryskich Stanisława Poniatowskiego na króla polskiego, swego zausznika, człowieka słabego, od którego wprzyszłości spodziewała się wiele ustępstw.

Kiedy się tedy zbliżył termin sejmu konwokacyjnego, mającego radzić o przyszłym królu, zjechali się do Warszawy panowie polscy, przyprowadzając wojska, ile kto mógł. Moskale również opasali zupełnie Warszawę.

Nadszedł dzień 7 Maja, przeznaczony na otwarcie sejmu.

Moskale od świtu stali uszykowani pod miastem. Pięćset grenadyerów było pod bronią na dziedzińcu posła rosyjskiego*), pułki kawalerii napełniły rynek, warty i szyldwachy

*) Przy dworze króla polskiego byli, jak to dzisiaj się jeszcze w innych stolicach dzieje, posłowie wszystkich mocarstw, jako pośrednicy pomiędzy swoimi królami a królem polskim.

porozstawiane były po wszystkich poprzecznych ulicach. Za miastem zaś po wszystkich drogach stały pod namiotami wojska moskiewskie z wyrychtowanymi armatami ku miastu i zapalonemi lontami. Książę Poniatowski był eskortowany kompanią gwardyi i przeszło dwoma tysiącami ludzi zbrojnych. Izba senatorska, poselska i cały zamek był napelniony woj-skim.*) Jedni żołnierze byli przy drzwiach, drudzy przy galeryach, a nawet na ławkach przeznaczonych dla posłów. Także w pałacach Czartoryskich: księcia kanclerza, księcia wojewody ruskiego i przysłego króla było pełno żołnierstwa. Dziury nawet w parkanie, otaczającym dziedziniec tego ostatniego, były do strzelania powycinane, tak że to całe przygotowanie było podobniejsze do bitwy, jak do sejmu.

Przeciwna zaś strona, to jest, partya hetmańska, zjechawszy się do pałacu Branickiego hetmana, na Podwalu, blisko zamku leżącego, radziła, co miała czynić przeciw tak zuchwałym

*) Sejm składał się z dwóch części: ze senatorów, obieranych na całe życie przez króla, i posłów, obieranych przez szlachtę. Stan senatorski składał się z biskupów, którzy mieli swoje dyecezye w Polsce, wojewodów i kasztelanów. Kasztelan krakowski był pierwszym senatorem z tytułem książęcym, do krzesła przywiązanym. Zwano go po łacinie *Princeps Senatus*, pospolicie zaś Pan krakowski. Tak senatorowie jak posłowie mieli osobne izby do obrad.

i gwałtownym zamachom? Niebezpieczeństwem być im się zdawało mieszać się z partją, gotową się odważyć na wszelkie bezprawia i wchodzić w obrady pod bagnetami żołnierzy. Przeto postanowili ten sejm zerwać. A do takiego czynu, nie potrzeba było podług dawnego zwyczaju wielkiej liczby, tylko jednego posła, któryby zawołał: „niemasz zgody na sejm!“ Więc w tym zamiarze wyprawili Jędrzeja Mokronowskiego, starostę i posła ciechanowskiego, samizaś zostali w pałacu, czekając ułożonym dawnym sposobem zerwania sejmu.

Zaczęcie tego sejmu, acz gwałtownego, poprzedziło zwyczajne nabożeństwo w kościele farnym świętego Jana, na którym znajdowało się najwięcej osób nieinteresowanych do żadnej strony i senatorów, którzy mieli dla siebie otwartą senatorską izbę. Do téj po skończonej mszy o Duchu świętym, poszli za prymasem i zasiedli miejsca swoje. Poselska zaś izba żołnierzem (jako się wyżej wspomniało) obwarowana, czekała na swoich panów próżna. Ci do niej przybyli, idąc marszem żołnierskim piechotą z pałacu książęcia Czartoryskiego, wojewody ruskiego, otoczeni przyjaciółmi i dworskimi ludźmi, uzbrojonymi w łosie kaftany, w czapki drutami żelaznymi przeszywane, w pistolety na tasakach, w pałasze i rękawice łosie z karwaszami po łokcie długimi, mając

u czapek i u kapeluszy kokardy ze wstążek koloru czerwonego, białego i zielonego. Z partyi hetmańskiej nie wszedł nikt do izby poselskiej, tylko jeden Mokronowski i Małachowski, krajczy koronny, marszałek starój laski, przez kilka poprzednich sejmów zerwanych, ciągle piastowanėj.

W owém zgromadzeniu, na którém nie było przytomnych więcej jak ośmiu senatorów z 50 znajdujących się w Warszawie, miał zagaić sejm stary Małachowski, marszałek poprzedzających sejmów. Marszałek ten, wchodząc przez tłum żołnierzy do zgromadzenia, wstrzymał się, a mając w ręku laskę, znak swėj godności, trzymał ją spuszczoną. Natenczas zawołał ktoś ze zgromadzonych posłów:

— Mości Panie marszałku, prosimy o zagajenie sejmu.

Mokronowski zaś stanąwszy na swém miejscu jako poseł zawołał:

— Nie masz zgody na zagajenie sejmu!

Krzyknęło kilkunastu: co za powód?

Na to Mokronowski: W imieniu 22 senatorów i 45 posłów protestuję przeciw naradom nad sprawami publicznemi, póki tylko wojska rosyjskie nas otaczać nie przestaną. Wstrzymuję przeto czynność sejmu.

Ledwo domówił téj krótkiej perory, kiedy ułani familii u drzwi stojący, porwali się do

szabel, rozumiejąc, że książę strażnik koronny Lubomirski, i książę Adam Czartoryski, generał podolski, kiwając ku nim rękami w górę podniesionemi, ten im znak na dobyte onych dali. Ci zaś dla tego kiwali, żeby izbę poselską zamknęli, gdy taki rozkaz ustny, dla wielkiej wszczętej w téj chwili wrzawy, nie mógł być od ułanów usłyszany. Skoro w izbie postrzeżono ułanów przy drzwiach z dobytymi pałaszami, natychmiast cała izba, tak w kole poselskiém jako i po gankach i łóżach porwała się do szabel, które dobyte w mgnieniu oka błysnęło w całym zamku, po wszystkich kurytarzach, lubo sami nie wiedzieli na kogo.

Ten tumult ciągnął się aż na ulice, na których porozstawiane pikiety poczęły się zbierać ku zamkowi. Wielu nie mających do żadnej strony interesu, poczęło uciekać hurmem z poselskiej izby, kałęcząc się o szable dobyte, na które strachem przejęci oślepi lecieli.

Senatorowie takim tumultem niespodziewanym przestraszeni, uciekli z senatu, poodbiegawszy czapek, kapeluszów, nałamawszy szabel, szpad i lasek, naobrywawszy na sobie sukien i nie czekając na karety, pieszo z zamku wraz z pospólstwem uciekając.

Gdy się ten hałas uspokoił, Mokronowski, który najpierwszy był dobył pałasza do swojej obrony, pierwszy go schował, a w tym mo-

mencie milczenia, odezwał się stary Małachowski, stanąwszy w pośrodku izby:

— Ponieważ wolności pozbawieni jesteście, ja biorę moją łaskę, którą nie prędzej podniosę, aż Rzeczpospolita uwolnioną będzie od wszystkich napaści.

Nowy wszczyna się hałas; sto głosów woła o podniesienie łaski. Mokronowski głosem mocniej wzniesionym mówi:

— Mości marszałku, nie możesz zagaić sejmku w przytomności tych rosyjskich żołnierzy, którzy zastępują miejsce naszych braci.

Na te słowa wszyscy żołnierze z dobytą bronią wpadają powtórnie na niego. Jedni z galeryi usiłują go dosięgnąć, drudzy w pośrodku tłumu przebić, a ci którzy go osłaniali, nie mogąc opierać się dłużej wołali:

— Mokronowski odwołał coś powiedział, gdyż nie jesteście w stanie bronić cię dłużej, zginiesz pewnie.

Załamawszy ręce, spoglądał na nich spokojnie i odpowiedział:

— Uderzcie! umrę wolnym i za wolność!

Napastnicy zdziwieni opuścili ręce. Zadrżeli przed skutkami, jakie by wyniknąć mogły z morderstwa wolnego obywatela kraju na wolnym sejmie.

Gdy odzywano się do marszałka, aby złożył łaskę, jeżeli jej podnieść nie chce, mąż

ten ośmdziesięcioletni niewzruszony w pośród zgiewku mówił:

— Odetnijcie mi rękę, albo odbierzcie mi życie, jestem marszałkiem obranym przez lud wolny, nie mogę być z tego miejsca usunięty, jak od ludu wolnego.

Chce wyjść; okrażają go, nie dopuszczają mu przejścia. Mokronowski widząc wstrzymanego gwałtownie woła:

— Mości Panowie! szanujcie tego starca, dozwólcie mu wyjść, jeżeli chcecie ofiary, macie mnie; czcicie wiek jego i cnotę.

A wysunawszy się z pomiędzy tych, co go ścisnęli, rzuca się w tamtę zgraję, przymusza do ustąpienia i tym sposobem wyprowadza marszałka ku drzwiom; żołnierze bronią wyjścia, ale ich dowódcy dają znak do wolnego przechodu. Mokronowski stanawszy we drzwiach, obrócił się raz jeszcze do zgromadzenia i zawołał:

— Wasi sprzymierzeńcy, gdy ujrzą marszałka powracającego z łaską, zabijają go, przeprowadźcie go do domu.

Jeden więc z przywódców ofiaruje się go odprowadzić; a gdy przechodził ku pałacowi hetmana, całe miasto, widząc z łaską powracającego marszałka, mniemało, iż sejm był zerwany.

Podług dawnego zwyczaju sejm w saméj

rzeczy był zerwany; i chociaż wszyscy przytomni posłowie byli zwolennikami Czartoryskich, jednak w téj chwili ośmiu oddaliło się ze zgromadzenia, reszta pogrążona była w pomieszaniu i milczeniu. Niespokojność o to, co się dalej dzieć będzie, zaprzętnęła wszystkie umysły. Bano się zgwałcić dawny zwyczaj, który od dzieciństwa przywykli uważać wszyscy za najważniejsze prawo wolności.

Przerwał milczenie Kosowski, starosta i poseł sieradzki, i zagaiwszy krótką mowę sesją sejmową, wezwał posłów przytomnych, do oboru innego marszałka i dał głos ks. Adamowi Czartoryskiemu. Za nim inni poszli, i jednogłośnie rzeczony książę obrany został marszałkiem sejmu.

Po obraniu marszałka, sesya odłożoną została do dnia następującego. Nazajutrz partya hetmańska, założywszy protest przeciw tak nieprawnemu postępowaniu, postanowiła wyjechać z Warszawy, i do nadwornego swego wojska przy sobie będącego, ściągnąć za rozkazem hetmańskim wojsko rzeczypospolitój po kraju leżące i gdzie indziej założyć sejm convocationis. Zaraz tedy z rana ruszyły najpierwsze wozy hetmańskie krakowskiem przedmieściem ku Ujazdowi, lecz gdy od Rosyi, stojącej na tym trakcie, zatrzymane zostały, postanowiła wspomniona partya przedrzeć się

gwałtem przez obóz rosyjski, do którego obozu spieszyły rotty nadworne familii, szykując się do bitwy, a na ich czele z jednej strony rogatek stanął na koniu książę Kazimierz Poniatowski, podkomorzy koronny, najstarszy między bracią Poniatowskiemi, po drugiej stronie, drugi brat młodszy Jędrzej Poniatowski, generał austriacki i wódz i komendant ogólny nadwornego żołnierstwa partyi swojej familii. Lecz książę kanclerz litewski, coby usłyszał, że Branicki hetman i książę Radziwiłł z innymi swojej partyi zabierają się choćby gwałtem wyjechać z Warszawy, z radością przysłał do Poniatowskiego generała rozkaz, aby im podróży nie tamować. Zaraz tedy szyki rosyjskie i nadworne familii, przerywające drogę, rozstały się na bok, a partya saska zaczęła maszerować. — Najprzód owe zatrzymane wozy, za niemi dywizye konne i piesze; po nich następowała karetka sześciokonna otwarta, w której siedzieli hetman Branicki, Potocki wojewoda kijowski, książę Radziwiłł wojewoda wileński, i drugi Radziwiłł, podkomorzy litewski. Tę karetkę otaczali żołnierze konni po obydwóch stronach, na koźle przed nim siedziało dwóch strzelców ze sztućcami, drugich dwóch strzelców klęczało tyłem do karetki, na stopniach u drzwi karecianych stało po dwóch takichże, a raczej wisało strzelców, trzymając

się jedną ręką karety, a w drugiej mając sztuciec złożony do wystrzału z odwiedzionym kurkiem. Nie wiem, w co by się był obrócił ten konwój kareciany, gdyby była do niego choć jedna rosyjska puszką wypaliła. Książę Radziwiłł wojewoda, pijany na fantazya, mijając Poniatowskich, szarpał się w karecie i wytrząsał rękę ku podkomorzemu. Ten zaś uśmiechał się, stojąc spokojnie na koniu. Za tą kareta szły inne z panami, opasane z obu stron żołnierstwem, dalej rozmaite wozy z czeladzią i rzeczami. Na ostatku maszerowały dwa pułki radziwiłłowskie konne. Wszystko to przewalało się środkiem obozu rosyjskiego i milicyi nadwornéj familii bez najmniejszej zaczepki, lubo przy daleko większej sile, mogliby byli dobrą sprawą rządzeni, znieść wojsko Czartoryskich nie równie od swojego mniejsze.

Zostawszy tak nadspodziewanie szczęśliwie panami placu, rozpoczęła familia Czartoryskich sejm. Skoro tylko potrzeba gwałtu ustała, usunęli wszelką straż z sejmu i pozorną wolność przywrócili obradom. Aby przeciwnikom odjąć sposobność do wojowania, odbierają hetmanowi Branickiemu hetmaństwo i dowództwo nad wojskiem, a obierają wodzem, tak zwanym regimentarzem, ks. Augusta Czartoryskiego. Również i marszałek koronny Bieliński, przyjaciel partyi hetmańskiej, wyzuty został ze swéj

godności. Oprócz tych gwałtów, wiele dobrych i zbawiennych uchwalono praw, ku naprawieniu rzeczypospolitój, ku zaprowadzeniu porządku, zniesieniu gwałtów.

Lecz czego najgoręcej pragnęli, zniesienia *liberum veto*, prawa, wskutek którego jeden głos szlachcica mógł zrywać sejmy i przeszkodzić najzbawienniejszym ustawom, najzgubniejszego prawa i przywileju w świecie, dokonać nie mogli, bo carowej moskiewskiej się to nie podobало; ona chciała mieć niezgody i rozdwojenie w narodzie, aby co chwila się wtrącać w sprawy ojczyzny naszej.

Inne prawa stósowały się najwięcej do ułożenia paktów konwentów*) dla nowego króla, między którymi była téż propozycja żwawie od niektórych posłów popierana, aby król przyszedł, który miał być Polak kość z kości, używał polskiej sukni. Stanisław Poniatowski, przeznaczony do korony, zasiadał na tym sejmie jako poseł ziemi warszawskiej; słuchał cierpliwie tych głosów, nie odzywając się bynajmniej przeciwko nim, chociaż nie lubił stroju polskiego i choć nigdy nie myślał pozwolić na to, aby się i w chwili koronacyi przebrał w polską suknię; prywatnie tedy obowiązywał swoich przyjaciół w większej nierównie liczbie, niż

*) *Pakta konwenta* nazywały się prawa różne, które królowi kazano zaprzysiądz przy koronacyi.

przeciwnicy będących, aby go do stroju polskiego nie przymuszali. Czego aby łatwiej dokazał, postarał się o zdanie na piśmie dwunastu doktorów, iż, gdyby podług mody panującej pod ten czas w polskim stroju ogolił głowę (była zaś moda golenia głów wysoko, tak, iż u niektórych ledwo czubek włosów zostawał na wiérzchu) tedyby musiał ustawicznie chorować, a może i umrzeć. Na takowe więc zdanie doktorów materya o stroju przyszłego króla wcale została zaniechana i w pakta konwenta nie weszła. Podobnym sposobem zbył się jazdy kosztownej do Krakowa, na którą nie miał wcale pieniędzy, a familia Czartoryskich, która go pieniędzmi wspomagała, także się fatygować do Krakowa nie chciała; wyrobił sobie zatém świadectwo dwunastu architektów o zamku krakowskim: iż w nim sala do koronacyi dawnym królom służąca, tak jest słabą, że gdyby w niej stanęło 300 ludzi, tedyby się zapadła, nie dopieroż, gdyby tłokiem sejmu koronacyjnego napchana była. Takiemi fortelami, u nikogo wiary nie znajdującemi, zbył się obmierzłych sobie wąsów polskich i czupryny, tudzież podróży do Krakowa, na którą jego worek nie wystarczał, a familijny nie chciał mu służyć.

W taki to sposób odbył się piérwszy nie-szczęśliwy sejm, jako przepowiednia całego

szeregu klęsk i niedoli, które odtąd zwalić się miały na Polskę. Jakiż bowiem mógł być król, kiedy go nie wolność i przekonanie dobrych, kochających ojczyznę obywateli wybierała, ale duma familii i polityka carowej Katarzyny, popierana bagnetami moskiewskimi i dobytymi mieczami niebacznych stronników? Termin do wyboru króla, czyli sejm elekcyjny, wyznaczono na dzień 28 sierpnia. Sejm ten już tylko czezą miał być formalnością, boć wszyscy wiedzieli, że nikogo innego, jedno Stanisława Poniatowskiego obrać winni.

II. Sejm elekcyjny.*)

Zanim się zbliżył on sejm, partya hetmańska z Branickim Janem i ks. Radziwiłłem na czele, postanowiła próbować wojennego szczęścia, aby przeszkodzić wyborowi króla, narzucenego przemocą. Ale ponieważ i tu zgody nie było, daremne były wszystkie przedsięwzięcia — próżne wszelkie dwumiesięczne utarczki

*) Wyraz ten pochodzi od łacińskiego wyrazu *eligere*, co znaczy obierać — sejm elekcyjny znaczy zatem zgromadzenie posłów i senatorów obierające króla.

z Moskalami. W połowie lipca wojska tych panów zostały rozproszone. Branicki i Radziwiłł uciekli za granicę i tam kołając na próżno o pomoc do innych królów w Europie, dali przeciwnikom czas do wykonania swych zamiarów.

Tymczasem rozpoczęto 28 sierpnia sejm elekcyjny. Sejm ten dzielił się na dwie części. Najprzód zgromadzili się senatorowie i posłowie i radzili pod szopą, ustawioną pod wsią Wolą, blisko Warszawy. Na drugi dzień dla większego przestworu, udali się w okopy około téjże wioski usypane w czworobok, z czterema bramami. W środku okopów były ławy proste do siedzenia dla posłów i krzesła dla senatorów.

Sejm naradzał się nad wyborem króla: że nie innego tylko Polaka obrać miano i nad ceremoniami, jakie obiorowi króla towarzyszyć będą. Wiedzieli od sejmu konwokacyjnego wszyscy dobrze, że nie kto inny tylko Poniatowski będzie królem. Lecz dla upozorowania, jakoby elekcyjna wolna była, wszystko tak robili, jakby być powinno, gdyby w samą rzecz naród wolno, nie z przymusu pod armatami i bagnietami moskiewskimi króla sobie obierał. A ponieważ Rosya stała z wojskami pod Warszawą na pogotowiu, nie było nikogo, ktoby się śmiał sprzeciwiać podanemu od prymasa

wnioskowi, aby Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego, królem obrać. Cały sejm jednogłośnie dał swoje przyzwolenie i na tém jedna najważniejsza sprawa sejmu załatwioną została.

Druga sprawa co do sposobu, czyli ceremoniału tego wyboru, również nie znalazła trudności. Dzień do ogłoszenia narodowi kandydata do tronu, byłznaczony 7my wrzesień. Ponieważ ważną to dla nas pamiątką, opisujemy szczegółowo cały sposób, w jaki się ten obór odbył.

Wszystkie województwa, senatorowie, posłowie i nieposłowie zjechali się na pole elektoralne rotami pod przewodnictwem swoich wojewodów, kasztelanów i urzędników bogato wystrojonych, z pomiędzy których niektórzy dzielne konie mieli pod sobą, ozdobione buńczukami tureckimi, a sami tarczami nasadzonymi perłami przystrojeni. Widok to był wspaniały! Do nich tedy, stojących w szyku po czterech stronach okopów, przyjechał prymas z swego pałacu ze znaczną świtą, karyolką bogatą od złota, aksamitu pąsowego i galonów, ka wszystkie strony blask rzucającą, czternonną ze stangretem i forysiem na koniach siedzących, także galonami, a konie czubami złotymi błyszczących. W téj kolasie (nie mogąc konno, bo na krzyże zawsze stękał, i dla tego

pochyło chodził), objeżdżał województwa. Najprzód przyjechał do województwa poznańskiego i kaliskiego z przemową następującą:

„Witam Waściów Mościwych Panów i Braci na tém elektoralném polu, oraz pytam, jaka jest wola i zgoda Prześwieatnych Województw Wielkopolskich, kogo mam nominować za króla i pana?“

Odpowiedzieli na to Twardowski, wojewoda kaliski (bo ksiązę Jabłonowski, wojewoda poznański, tajemny, a od nikogo nie wsparty pretendent tronu, nie śmiał się pokazać na tym sejmie), i Mielżyński, kasztelan poznański, że sobie nikogo innego nie życzą mieć królem, tylko JMci Pana Stanisława Poniatowskiego, stolnika litewskiego; i natychmiast podali do rąk prymasowi pismo, wyrażające ich życzenie, a podpisem szlachty obydwóch województw stwierdzone. To odebrawszy prymas, stojący w karyolce, pytał się po trzy razy szlachty tychże województw:

„Jestże zgoda JWM. Panów, abym nominował za króla i pana JMci Pana Poniatowskiego, stolnika litewskiego“? A za każdym razem odebrawszy odpowiedź w krzyku donośnym: zgoda i vivat! pokłoniwszy się, usiadł i jechał ku następującemu województwu.

Nie było żadnej odmiany we wszystkich województwach; wszędzie jeden sposób pytania

i odpowiedzi, wyjąwszy jedno województwo kijowskie, do którego gdy przybył prymas z zapytaniem wyżej wyrażoném, Potocki wojewoda kijowski na czele swego województwa na koniu siedzący, jedynie przez bojaźń ściągnięcia Moskali do dóbr swoich téj elekcji przytomny, w sercu zaś jako pan wielki brzydzący się tak ubogim królem, z pacierz ruszając wargami, nie mógł wykrztusić tego słowa Poniatowski, ale tylko odpowiedział:

„Zgadzam się z poprzedzającemi województwami, o reszcie (dolożył, oddając pismo prymasowi), ten papier nauczy“. Szlachta zaś jego na zapytanie prymasa odezwała się: zgoda i vivat!

Druga także osobliwość zaszła w województwie ruskiém. Szlachcie jeden nie paradnie ubrany i na koniu podłym, wysunąwszy się z szeregu ku prymasowi, zaczął do niego przed pytaniem taką perorę:

„Mości książę, proszę Waszój Książęcej Mości, imieniem całego naszego województwa, ażebyś nam nominował za króla i pana, Jaśnie Oświeconego Książęcia, JMci wojewodę ruskiego, od którego nasze województwo ruskie wielkich doznaje dobrodziejstw. Prymas, jakby tego nie uważał, swoje pytanie zaczął, na które książę wojewoda ruski wyraźnie odpowiedział, iż chce mieć za króla i pana Stanisława Ponia-

towskiego, i oddał prymasowi kandydacyą; jeszcze zas wprzód uchyliwszy kapelusza, odpowiedział szlachcicowi: „dziękuję WMci Panu“. Uważano, iż ksiązę Czartoryski, wojewoda ruski, na siwym mierzynku siedzący, odpowiadając prymasowi, dużo był na twarzy pobladł: czy go ów szlachcic zmieszał swoją niespodziewaną nominacyą, czyli téż usta nie zgadzały się z sercem, które dużo na to boleć musiało, iż za jego pieniądze korona się nie jego Adamowi, ale Stanisławowi dostała.

Tak tedy dzieło najglówniejsze całego narodu niemal w godzinie odbyte zostało w zgodzie, w spokojności i rzadkiej skromności. Na téj elekcyi nikt się ani krwią nie oblał, ani winem nie zachłysnął, bo nie tylko wina, ale i szklanki wody od pragnienia na polu elektoralném nie było. Nazajutrz Sosnowski, pisarz polny litewski, marszałek sejmowy, zagaiwszy sesyą sejmową pod szopą, przeniósł się z senatorami i posłami w okopy dla większego przestworu, gdzie stanąwszy w środku na krzesle ksiązę prymas, pytał się po trzy razy: jeżeli jest zgoda stanów sejmujących, żeby przystąpił do nominacyi na króla Stanisława Augusta wczoraj na polu elektoralném przez naród zgodnie podanego? Na co gdy od wszystkich ze wsząd słyszane były odpowiedzi po tyleż razy: zgoda! przystąpił do téjże nominacyi, którą

w krótkich słowach odbywszy, zlecił marszałkom dwom litewskim, to jest Ignacemu Ogińskiemu wielkiemu i Józefowi książęciu Sanguszcze nadwornemu (bo tylko ci dwaj sejmowi temu asystowali, koronni zaś w domach swoich na króla się dąsali), ażeby ludowi pospolitemu, okopy otaczającemu, obwieścili po bramach okopowych, że Poniatowski, stolnik litewski, zgodnemi i powszechnemi głosami obrany jest królem polskim pod imieniem Stanisława Augusta, pod którym imieniem ma być uznawany od wszystkich stanów i kondycyi całego narodu za prawdziwego i prawego monarchę. Co gdy marszałkowie wspomnieni w czterech bramach okopowych głosem, ile mogli mocnym, ludowi donieśli, i do koła sejmowego powrócili, książę prymas zaczął hymn: Te Deum, który śpiewali wszyscy przy odgłosie trąb, kotłów i biciu z armat. Po odśpiewaniu hymnu ruszyli się wszyscy w parady do pałacu Poniatowskich na krakowskiem przedmieściu obok koszar, kazimierzowskiemi zwanych, stojącego, w którym się znajdował król świeżo obrany. Tam odebrawszy zwykle takim dziejom powinszowania i oddawszy wzajemne podziękowania, wsiadł na konia nie bogato, lecz gustownie w rząd i siatkę przybranego, jechał otoczony panami i niezmierną kalwakatą do kolegiaty św. Jana, która kalwakata miała przed sobą chorągiew

ułańów królewskich, a za sobą oddział gwardyi konnej koronnej. Wszyscy jadąc zwolna wykrzykiwali: vivat! które słowo gdy przeszło od końca do końca, znowu się zaczynało i trwało ciągle i hucznie aż do samych wrót kościelnych.

W kościele powtórnie było śpiewane Te Deum przy biciu z armat i powinszowania od prywatnych, a najwięcej od pań królowi oddawane; poczem szedł król gankami z kościoła do zamku prowadzącymi w niezmiernym tłoku, trzymając obiedwie ręce wyciągnięte do całowania wszystkim, mimo których przechodził. Na zamku małą chwilę zabawiwszy między owym tłokiem, zamknął się w gabinecie swoim, ażeby radości przed obliczem narodu w sobie tłumionej, mógł rozpuścić cugle i podzielić się nią z faworytami.

Szopeę po innych elekcyach zazwyczaj paloną, za wstawieniem się króla darował Wessel, podskarbi wielki koronny, jako nakładem skarbu koronnego sprawioną, księdzu Wendrochowskiemu, plebanowi w Woli, i Furniemu, rotmistrzowi Węgrów marszałkowskich.

We dwie niedziele po wykrzyknięciu króla w polu, przysięgał tenże król w kościele ś. Jana kolegiackim, na pakta konwenta, klęcząc przed wielkim ołtarzem i czytając też pakta i przysięgę z formularza, na taborecie przed nim po-

łożonego, w obecności księcia prymasa i wielu innych panów. Po której przysiedze powstawszy prymas z krzesła, na którym siedział podczas przysięgi królewskiej, miał do niego mowę, a po nim drugą Sosnowski, marszałek sejmowy, w której mowie obadwa wyrazili powinszowanie królowi, polecieli mu strzedz praw i swobód narodowych, i nadzieję zachowania onych. W odpowiedzi swojej król podobnie wyraził podziękowanie narodowi, pochwały prymasowi i marszałkowi, oraz upewnienie, że wszystkie obowiązki swoje świątobliwie zachowa, do której obietnicy gdy przystępował, podniósł głos i zawołał na cały kościół: Boże! Ty widzisz skrytość serca mego. Jako zaś miał płynną wymowę, i głos wdzięczny, tak temi słowami przeraził serca wszystkich, iż cały kościół na te słowa ryknął radosnym płaczem. Nie wezwał jednak król na siebie żadnej kary od Boga, jeżeliby paktów konwentów poprzysiężonych nie dotrzymał; tylko: Ty Boże widzisz, jeżeli nie myślę dotrzymać; — zdaje się, iż już wtenczas przemyślał, jak się uwolnić od twardych obowiązków paktów konwentów, które króla nie panem narodu, lecz sługą prawie czyniły, dla tego za niedotrzymanie ich nie chciał włożyć na siebie żadnej kary Boskiej. Ale Niebieski świadek, oraz i Sędzia przewrotnych serc, dosyć mocno ukarał

krzywoprzysięstwo takie sromotnym końcem jego panowania.

III. Koronacya Króla.

Koronacya Stanisława Augusta odbyła się nie jak dotąd wszystkich innych królów w Krakowie lecz w Warszawie. Obrzęd ten z wielkim zwykle odbywał się przepychem.

W wigilią koronacyi, to jest, dnia 24 listopada, jechał król karetą przy wielkiej kalwakacie do kościoła księży misjonarzy, na krakowskiem przedmieściu będącego. Tam przed obrazem świętego Stanisława, w wielkim ołtarzu wystawionym, uczynił spowiedź przed ks. Piotrem Śliwickim, wizytatorem misyonarskim, klęcząc przy taborecie, na którym usiadł Śliwicki. Nie zabawiła ta spowiedź pięciu pacierzy, rachując w to i rozgrzeszenie, o której wolno sądzić, jak się komu podoba, czy ona była szczera, czy tylko ceremonialna. Słuchał potem klęcząc z przykładną skromnością mszy czytanej przez Sierakowskiego, arcybiskupa lwowskiego, i z rąk jego przyjął komunią. Po którym nabożeństwie z tąż paradą, z którą przyjechał, powrócił do zamku.

Nazajutrz około godziny jedenastej przed południem, poszli z kościoła kolegiaty do zamku procesjonalnie wszyscy przytomni w Warszawie panowie, senatorowie i biskupi, tak łacińskiego, jako i ruskiego obrządku, po biskupiemu ubraniu. Tam na nich król czekał w stroju zwyczajnym niemieckim. Przestrojonego w ubiór nakształt biskupiego, w albę, dalmatykę, kape i sandały, na głowie tylko czapkę, nakształt kapuzy niemieckiej, czarną aksamitną, z białym piórem i sztuką dyamentową mającego, prowadzili ulicą zamkową do tegoż kościoła, pod baldachimem przez czterech kasztelanów niesionym, z poprzedzającymi przed baldachimem insygniami królewskimi, to jest: berłem, jabłkiem i koroną na wezgłowiach aksamitnych od senatorów niesionymi. Poprzedzały także dwie chorągwie, które nieśli w niebytności wielkich, chorążowie nadworni: Adam Mniszech, koronny, i Jan hrabia Krasicki, litewski. Postępowała cała ta parada z królem po moście z tarcic ułożonym, suknem czerwonym przykrytym. Łubieński prymas dla słabości swojej nie chodził po króla, czekał na niego w kościele, gdzie go podług obrządku dawnego koronował.

Po odprawionej w kościele koronacji, powracał król w téj saméj paradzie do zamku, lecz inaczej ubrany. Miał albowiem na sobie kamizelkę opiętą i pluderki także, białe atla-

sowe pończochy na nogach i trzewiki białe. Na plecach płaszcz aksamitny ponsowy złotem haftowany, gronostajami podszyty, który za nim unosił jeden z senatorów, na szyi miał z przednich koronek brabanckich wielkie kryzy; mówiono, iż to był strój hiszpański. Na głowie miał koronę, w jednej ręce trzymał berło, a w drugiej piastował jabłko złote.

Po skończonym akcie dopiero opisanym, dawał król na zamku obiad wspaniały dla wszystkich senatorów, ministrów i posłów.

Nazajutrz, to jest dnia 26 listopada w towarzystwie panów i szlachty szedł król pod baldachimem przez czterech rajców warszawskich niesionym, w swoich sukniach niemieckich z zamku na ratusz, gdzie był ubrany w strój hiszpański tak jak wczoraj, tylko bez berła i jabłka, ale z koroną na głowie i z mieczem przy boku. Z tą samą paradą wyszedł z ratusza na tron królewski, w środku rynku, tam gdzie tracą złoczyńców, wystawiony. Z obu stron tronu wyciągnięte ławy czerwonym suknem okryte, a przed ławami na wywyższeniu z tarcie ułożonem, także suknem czerwonym przykrytym, krzesła senatorskie rzędem rozstawione, wyrażały doskonale postać izby senatorskiej. Mało było na tym akcie jak posłów tak senatorów; większa połowa krzesel i ław próżno stała, czy dla tego, iż temu wi-

dokowi dla mieszczan zrobionemu nie mieli ciekawości przypatrywać się, czyli go téż po wczorajszym bankiecie zaspali, dosyć, że miejsc próżnych w tym senacie było aż do podziwienia wiele. Gwardya koronna mirowskimi zwaną, otaczała pieszo cały ten teatr. Gdy król usiadł na tronie, i senatorowie na krzesłach, stanęły naprzeciw tronu królewskiego magistraty miast Krakowa, Warszawy, Poznania, Wilna, Lwowa, i za przywołaniem marszałka wielkiego litewskiego, porządkiem jak stały, przystępowały do całowania ręki królewskiej, potem cofając się tyłem, stawały na miejscach swoich. Potem Delfus kupiec i rajca warszawski powiedział krótką mowę do króla, winszując mu szczęścia osiągniętego tronu, oddając wszystkie miasta całego kraju szczególniej opiece królewskiej i życząc długoletniego a najszcześniejszego panowania. Po skończonej mowie Delfusowej, na którą król Jmć. nie raczył nic odpowiedzieć, Witoff prezydent miasta Warszawy oddał mu klucze od miasta pozłoczone, na poduszce ponsowej aksamitnej galonami złotymi suto szamerowanej. Potem pasował król na rycerzów złotój ostrogi zwanych, czterech z magistratu krakowskiego podług dawnego zwyczaju, podług zaś nowój łaski swojej, czterech z rady warszawskiej, to jest Witoffa prezydenta, Sakresa, Adrychowi-

cza i Delfusa rajców i dwóch z gminu: Fryzego i Czempińskiego kupców. Ceremonia tego pasowania była taka: Król dobył miecza gołego i nim dotykał po obu ramionach przyklękającego przed sobą mieszczanina, z których każdy pojedynczo odebrawszy takowe pasowanie, powracał tyłem na miejsce swoje. A gdy skończył pasowanie ostatniego i ten powrócił na miejsce, król tymże mieczem machał po dwa razy na każdą stronę horyzontu krzyżową sztuką, poczynając od północnej, ku której podług sytuacyi tronu stał twarzą, obracając się potem na wschód, południe i zachód. Machał dosyć składnie i silnie (oby tak był umiał obronić nim państwo od rozerwania, od którego obronę znaczyło to machanie). Wymachawszy się król, schował miecz do pochew, zszedł z tronu i powrócił na ratusz, gdzie rozebrawszy się z ubioru królewskiego, ubrany w niemieckie suknie, powrócił do zamku w tym samym orszaku, z którym z niego wyszedł.

W czasie tego aktu wszyscy kupcy i cechy stały pod bronią po wszystkich ulicach w mieście, przybrani w mundury jednakowe według upodobania każdego cechu. Kupcy jedni byli w mundurach na koniach w dragońskim stroju, drudzy formowali piechotę w szwajcarskim stroju z kaszkietami na głowach; był to widok osobliwy i arcywdzięczny w obudwóch

tych rotach, mających kolory paliowy z błękitnym, a szwajcarska rota swojemi togami do kolan spadającemi, w rękawach zaś i w sobie szerokiemu nakształt augustyańskich, przypominała milicyą rzymską, przed dyktatorami w tryumfie paradującą.

Wieczorem dawał król na zamku bal z maskami dla panów i dla miasta, które całe i z przedmieściami było tego dnia illuminiowane, rzesistém światłem w oknach. Pałace zaś pańskie i bogatszych kamienice rozmaitemi figurami i farbami lamp palących się między świerczyną, grynszpanem ufarbowaną rozsadzonych, przedziwnie wdzięczny okazywały widok, który samego króla radością z osiągniętego tronu nienasyconego, oderwał od balu i zwałbił do siebie. Objeżdżał bowiem konno z asystencyą dworskich swoich wszystkie ulice, przypatrując się rozmaitym figurom i hieroglikom, applauzy i pochwały jego wyrażającym; jakoż co tylko malarstwo, snycerstwo i poezya wymyślić mogła, wszystko to przyświecało Stanisławowi Augustowi.

Drugiego dnia tylko niektóre kamienice w rynku i pałace pańskie po przedmieściach były illuminowane. Lecz trzeciego dnia pokazał się widok nierównie wspanialszy i miłszy, niż wszystkie inne. Ratusz starego miasta Warszawy i przy nim ów amfiteatr w rynku,

w którym król pasował rycerzów, te dwa gmachy były tak ozdobnie illuminowane, iż nawet cudzoziemców zastanawiały i wprawiały w podziwienie. Kosztował ten widok miasto Warszawę podług wieści publicznej do dwóchkroć sto tysięcy złotych polskich, rachując w to i ucztę dla widzów znaczniejszych na ratuszu dawaną. Ten zaś koszt był z składki nałożonej na wszystkich mieszkańców warszawskich stanu miejskiego. Król tym widokiem był tak ukontentowany, że około jedenastej godziny w nocy z orszakiem różnych kawalerów i dam obszedłszy do koła ratusz, wszedł do niego na chwilę i odwiedził biesiadujących rajców.

Dnia 27 listopada, między cechami i kupcami z obu stron ulicy w mundurach, jako wyżej, na koniach i pieszo rozstawionemi, jechał król w licznym orszaku panów, senatorów, rycerstwa i dworzan do kościoła misyonarskiego, na krakowskiem przedmieściu będącego, gdzie przed obrazem św. Stanisława, w wielkim ołtarzu postawionym, słuchał mszy świętej, po której wysłuchaniu, z tą samą paradą powracał do zamku.

Wessel, Podskarbi wielki koronny, jadąc przed królem na koniu, tam i nazad, brał garścią z torby wiszącej na nim pieniądze, i tedy owedy rzucał między pospólstwo. Te pienią-

dze były srebrne, wielkości złotych. Nie utrzymuję, aby ich więcej nad tysiąc rozrzucił, bo nie często rzucał. Tę podróż do kościoła misyonarskiego odprawił król obyczajem królów poprzednich swoich, którzy koronując się w Krakowie, taką świętą drózkę z zamku do kościoła świętego Stanisława na Skałce odprawiali, polecając siebie i królestwo opiece tego świętego patrona, i ten był akt ostatni publiczny, należący do uroczystości koronacyjnej.

IV. Porwanie Senatorów.

r. 1767.

Czartoryscy, jako mądrzy ludzie, pragnęli swoje stanowisko i bliskie z królem powinowactwo na korzyść kraju wyzyskać. Widząc walącą się budowę Rzeczypospolitej Polskiej, tak straszny we wszystkich urządzeniach nieład, a ztąd niechybną jej zgubę, uważali naprawę konieczną. Godną jest uznania i pochwały ta ich praca na korzyść kraju, przez którą chcieli zmazać błąd i grzech, jakiego się dopuścili przy wyborze króla. Lecz się mocno zawiedli. Stał na przeszkodzie król

słaby i chwiejny, uległy woli carowej, dużo panów polskich, którzy najlepsze ich zamiary podejrzewali, wskutek machinacyi przy oborze króla, o ostatecznie carowa moskiewska Katarzyna, która już ukula plan, powiększenia swęj monarchii krajami polskimi. Ona to mając jako posła Repnina, gwałtownego człowieka, koło króla Stanisława, i kilkadziesiąt tysięcy wojska w Polsce, nie chciała dozwolić na żadną naprawę, reformę, chciała mieć ustawiczne zamieszanie w kraju, aby swój plan przeprowadzić. Ztąd coraz większe wzbudzała trudności, coraz to inne wywoływała sprawy, któreby sprawiały rozdrażnienie, niezgodę i nierówność. Jedną z takich spraw, było upomnienie się o zrównanie praw i przywilejów dysydentów i dysunitów z katolikami. Dysydentami nazywano w Polsce wszystkich tych, którzy odpadli od wiary katolickiej a przyjęli wiarę Luterską, Kalwińską lub inną protestancką; dysunitami zaś nazywali schizmatyków, co grecką wyznając religią, cokolwiek od katolickiej odmienną, nie połączyli się jak inni z papieżem. Dysydentów bardzo już mało było w Polsce, bo wszystkie nieomal familie wróciły na łono Kościoła katolickiego, a wcale uciskany mi nie byli, bo Polska nigdy innowierców nie dręczyła, jedno tylko odmawiała im wysokich godności.

Katarzynie nie chodziło wcale téż o religiję, bo w duszy żadnej nie miała lecz o siew niezgody, aby z tego szatańskiego ziarna zbierać owoce dla siebie.

Na sejmie zwołanym w r. 1767 w Warszawie miała być ta sprawa do ostatecznego załatwienia przedłożoną.

Gotowało się na straszną burzę w sejmie. Polacy za nadto byli przywiązani do wiary, za nadto do swój wolności, aby tak łatwo ustąpili i dozwolili carowej czynić wszystko, co jej się podobało.

Przeciwko żądaniu równouprawnienia dysydentów postanowiło wystąpić jak najenergiczniej kilku senatorów i biskupów: Sołtyk, biskup krakowski, Załuski, biskup kijowski i Kraśniński, biskup kamieniecki, hetman polny koronny, Rzewuski i syn jego.

Repnin, poseł rosyjski wszelkich używał środków, namowy, obietnic i grózb, aby się nikt nie ważył sprzeciwić równouprawnieniu dysydentów. Nic to nie pomogło. Zdecydowany do oporu rozpaczego biskup Sołtyk, w nim jedynie ratunek widząc, zaraz przy pierwszej sposobności na sejmie wystąpił z mową silną przeciwko mieszaniu się Moskwy do spraw polskich, przeciw równouprawnieniu dysydentów, przypominał królowi przysięgę, którą się zobowiązał krew przelać dla obrony wolności

i wiary. Rzewuski wojewoda krakowski wsparł tę mowę. Był to człowiek prawy, kochający swoją ojczyznę i wiarę, jeden z najroztropniejszych w Polsce mężów. „Dalby to Bóg“, mówił wojewoda, „żeby wiekopomnej godni sławy przodkowie nasi, którzy wiarę i wolność nad krew i życie przedkładali, cudem Wszechmocy z grobowych popiołów wskrzeszeni, stanęli tu w pośrodku zgromadzonych na sejmie stanów, a obaczyli straszne na wiarę zamachy, okropne praw rozwaliny, wolność większością głosów zatłumioną, pewnieby, spojrzawszy załłośnie na zacnych wnuków swoich, głosem ze łzami zmieszany zawołali: O czasy! o nie-szczęśliwości! Ciż to są Polacy?! Ciż to W. Ks. Litewskiego obywatele?!“

Po tej mowie, król widząc nadzwyczajne na sejmie wzburzenie, zakończył tę pierwszą sesję. Repnin chcąc złamać opór biskupa i wojewody krakowskiego, a przez to innych zastraszyć, wysłał oddziały rosyjskie, aby pu-stoszyły dobra wojewody i majątek biskupi.

Nazajutrz, na drugiej sesji sejmowej przemawiali w tym samym duchu inni biskupi i posłowie. Załuski, biskup kijowski, odczytał dwa bre-we papieskie, wzywające do obrony religii. Ten biskup słynął swojemi zasługami w literaturze polskiej, dla której kazał przedrukować dawnych lub nieznanych autorów. Zebrał on

z wielkiem staraniem i kosztem wszystkie rękopisma, które mogły służyć do historyi i posiadał bibliotekę liczną i wyborną.

Nie mogąc sobie dać rady z przeciwnikami zamknięto znowu posiedzenie i odłożono na dni sześć. Było to robotą Repnina, który, nie widząc innego sposobu, umyślił porwać przeciwiających się senatorów i posłów i wywieść ich na Sybir. Nie było tylko jeszcze w Warszawie biskupa kamienieckiego, dla tego za nim czekać postanowił, aby na raz sprzątnąć wszystkich naczelników i głowy tego oporu. Repnin posłał ukazy do swych wojsk, aby się udały tym traktem, którym spodziewano się przyjazdu biskupa Krasińskiego. Ten będąc w drodze, wnet się zobaczył eskortowanym przez żołnierstwo rosyjskie. Domyślił się przezorny biskup, że to jego samego miano na oku, i że już był w ręku Moskali. Dla uniknienia więc następstw, o kilkanaście mil przed Warszawą porzuca swoje powozy, przebiera się po strzelecku, udaje się ubocznymi drogami. W tém przebraniu przebywa oddziały rosyjskie, któremi Warszawa otoczona była i tego samego wieczora na Pragę, przedmieście Warszawy, oddzielone Wisłą przychodzi, w tym samym dniu, w którym porwanie naznaczone było. Ukrywając się, posłał do Sołtyka poufnego posła i kazał mu powiedzieć, aby nie stawiał

oporu bezużytecznego, że opierać się na gorliwości i odwadze tylko, to nie bronić ojczyzny, ale ją gubić, że należało się zachować wszystkim śmiałym ludziom na lepsze czasy. Biskup bowiem Krasiński miał zamiar zawiązać sprzysiężenie, spisek w kraju przeciw Moskalom, zawezwać dwory obce jak Turcyą i Austryą do pomocy i zrzucić jarzmo moskiewskie. Cały ten plan przesłał także Sołtykowi, ale ten nie dał się nakłonić. Widząc z radością, że ojczyzna znajdzie jeszcze obrońców, postanowił wytrwać w oporze, spodziewając się, że gwałt na jego osobie uczyniony, rozburzy cały naród. —

Był to dzień sesyi sejmowej, na której Sołtyk z całą siłą występował przeciw żądanom Moskwy i słabości obywateli, którzy pozwalali sobie takie żądania narzucać.

Gdy się sesya skończyła, pojechał biskup na wieczerzę do Jerzego Mniszcha, marszałka nadwornego koronnego.

Repnin nakazał uwięzić przeciwników swych.

Rozdzielono wojska rosyjskie na placach publicznych dla utrzymania w spokojności miasta, którego wzburzenia się spodziewa. Co chwila donosili słudzy marszałkowscy, że wojska rosyjskie w ogromném poruszeniu, że ulice pobliskie pełne żołnierzy. Nareszcie przybie-

gają z wieścią, że pałac cały otoczony, brama zatarasowana, szyldwachy przy oknach postawione. Ponieważ jeszcze łatwe i bezpieczne pozostawało przejście do domu pośła pruskiego, któryby sami Moskale uszanować musieli, nalegał Mniszech i inni przyjaciele na biskupa, aby uchodził, mając taką sposobność wyśliznięcia się z rąk ciemieńców. Biskup jednak nie dał się namówić; zdawało mu się, żeby się splamił, gdyby miał uciekać. Naraz roztwierając się wszystkie drzwi, prowadzące do sali, gdzie siedzieli, wałą się zewsząd żołnierze moskiewscy. Na ten ich widok powstał biskup, przybliżył się do komina, wrzucił w ogień ważne papiery, które na podobny przypadek zawsze miał przy sobie, a obracając się potem do oficera rzekł?

„Czy mnie WPan znasz, czy wiesz iż jestem księciem, senatorem i kapłanem?“

Moskał odrzekł: „wiem Mości biskupie, ale ja mam rozkazy aresztować go, a rozkazów słuchać muszę.

Biskup tedy, uściskawszy marszałka Mniszcha, który stał w przerażeniu i odurzeniu na taki czyn i zniewagę, wyrządzoną senatorowi wolnego państwa, poszedł bez zmieszania się za oficerem rosyjskim.

Biskup kijowski, Józef Załuski zabierał się do snu, kiedy przybyli siepacze. Moskale

zastali go klęczącego i trzymającego krucyfiks w ręku. Prosząc Boga, aby przyjął ofiarę jego życia, pobłogosławił ze łzą w oku wszystkich swoich ludzi, i oddał się w niewolę.

Wacław Rzewuski, wojewoda krakowski, kiedy go naszli żołnierze i oznajmili wyrok uwięzienia, rzekł po chwili milczenia do oficerów rosyjskich pamiętne słowa:

„Przyjąłbym śmierć za łaskę, bo byłaby dla mnie chwalebna; wolałbym stracić życie z rąk zbójców przy obronie religii i wolności, niż, będąc senatorem, być aresztowanym, gdyż przez to znieważony i wzgardzony mój naród.“

Syn jego Seweryn Rzewuski starosta dołiński, poseł podolski, rozumiejąc, że sam tylko aresztowanym został, przestrzegał pilnie, aby nie zmieszał spoczynku ojca swego słabego.

Wszyscy z osobna, bez służących, byli prowadzeni na drugą stronę Wisły, do obozu rosyjskiego. Nazajutrz wieziono ich traktem ku Rosji, pod eskortą blisko dwóch set żołnierzy i nie pozwolono im ani mówić ze sobą. — Nie szczędzono im w ogóle po drodze surowego obchodzenia. W podróży ofiarowała im carowa wolność, jeżeliby obowiązali się piśmiennie nie sprzeciwiać woli i czynnościom jej posła. Tę ofiarę powtórzono raz jeszcze w więzieniu, gdzie każdy z osobna siedział; ale wszyscy ją odrzu-

cili. Natychmiast więc zawieziono ich do Smoleńska, co aby się nie wyjawilo, zakazała Moskwa o nich mówić i imiona ich wyjawiać. Ztamtąd, gdy wybuchło zbrojne przeciw Moskalom powstanie, zawieźli ich do Kalugi na Sybir.

Tak tedy pod bokiem króla, pod bokiem zgromadzonego na sejm narodu spełnił się gwałt okropny! Milczkiem w nocy, jak to Moskwa zwykła, ofiary swęj zemsty zawlekła na Sybir, jako złowróbną przepowiednię tego, co czekało Polaków, jeżeli przemocy moskiewskiej nie złamią. —

Któż zdoła odmalować przerażenie, jakie ogarnęło nie tylko sejmujących, ale wszystkich obywateli. Całe miasto noc tę bezsennie strawiło; prócz smutku odbierał sen nieustanny szczełk broni żołnierstwa obcego, które po wszystkich ulicach przebiegało. Każdy przyjsia dnia oczekiwał, w którym mieli się zgromadzić na zamku najznakomitsi z senatorów, ministrów i posłów dla przełożenia królowi ważnej téj sprawy. Na pierwszą bowiem wieść o porwaniu senatorów, zjechali się zaraz na wezwanie kanclerza Andrzeja Zamojskiego senatorowie, posłowie do marszałka sejmu, księcia Radziwiłła, w celu naradzenia się, co wypadało czynić w tak okropném położeniu. Cnotliwy Andrzej Zamojski wniósł, że wypada

pójść do króla i jeśli on nie zdoła zwrócić porwanych do Warszawy, natenczas wszyscy ministrowie urzędu złożyć, senatorowie krzesła a posły ławy opuścić winni. Kończąc dodał Zamojski, że jutro zwróci królowi dyplom na kanclerstwo, jeżeli nie stanie silnie w obronie znieważonego kraju. Rozrzewnieni wszyscy przytomni oświadczyli na wszystkie raczej narażać się niebezpieczeństwa, jak tej hańbie uleść. Przecież w gronie tych patriotów znalazł się niestety zdrajca, który zaraz po tej naradzie przybiegł do posła rosyjskiego i wydał osoby, które się naradzały i co uradziły.

Repnin, dowiedziawszy się o tém kazał powiększyć po wszystkich ulicach strażę, rozlał po wszystkich domach szpiegów, a sam do zamku się udał, aby powiedzieć królowi, co mu czynić wypadało. Tymczasem już téż do pałacu królewskiego schodzili się senatorowie i sejmujący. Tłok był nie do opisania i straż, prawie co krok, dziedziniec i wschody zalegały. Na wszystkie przedstawienia odpowiedział król:

„Dzieję narodu żale, ale zataić nie mogę, iż w tej doli nie pozostaje nam, jak udać się do wspaniałomyślności carowej, a tymczasem kończyć sejm wypada, abyśmy większej surowości na siebie nie ściągnęli.“ —

Jakież to haniebne słowa króla, rządzące-

go narodem! To téż po téj mowie króla ponure nastąpiło milczenie; jeden tylko nieśmiertelny Andrzej Zamojski kanclerz, trzymając dyplom kanclerstwa w ręku, zbliżył się do króla i rzekł: „Już nie ma narodu i sejmujących stanów po dopelnionym gwałcie przez posła obcego, i gdy temu zaradzić królu nie możesz, ja twoim ministrem być nie mogę i dyploma mi oddane zwracam.“

Podług umowy mieli inni ministrowie naśladować Zamojskiego; mieli senatorowie i posłowie przytomni oświadczyć, iż swe miejsca opuszczają, jeśli powaga narodu zwróconą nie będzie. Tymczasem nie uczynili tego. Król, odebrawszy od Zamojskiego dyploma, wrócił się do siebie. Wszyscy zgromadzeni opuszczali pokoje, aby być sługami posła moskiewskiego. Z pogardą lud spoglądał na wszystkich, jeden tylko Andrzej Zamojski odbierał od niego hold uszanowania; odprowadzony był w tryumfie do swego pomieszkania.

Tak dopełnił się niesłychany gwałt w dziejach świata, że poseł obcego państwa w stolicy Rzeczypospolitej śmiał więzić senatorów i posłów, których sam król nie miał prawa bez prawomocnego wyroku zamknąć we więzieniu.

V. Konfederacya Barska.

1768 r.

Biskup Krasiński wielką odtąd odgrywa rolę, jako przeciwnik Moskwy, Czartoryskich, króla Stanisława, jako najzagorzalszy patryota, kochający nad wszystko wolność swego kraju. Wypada nam się bliżej z nim zapoznać, gdyż odtąd występuje jako naczelnik powstania przeciwko Moskwie. Niechętny królowi odsuwał się ile możności od wszelkich spraw publicznych. Ani na radach senatu, ani na sejmie w r. 1766 nie był obecny, bo nie wierzył, aby można z korzyścią służyć ojczyźnie, dopóki poseł moskiewski trząsł wszystkiem samowładnie. Zdaniem jego trzeba było wprzód popozbyć się jarzma nie proszonej opieki moskiewskiej, a potem dopiero przystąpić do gruntownej naprawy urządzeń złych i ułomnych kraju, zrobić go tak silnym, aby nie potrzebował obcej pomocy. Do tego widział dwa środki: pomoc rządów innych w Europie, nieprzyjaznych Moskwie i zespolenie całego narodu, aby mógł nie tylko wydobyć się z pod narzuconego zwierzchnictwa moskiewskiego, ale zepchnąć nawet z tronu niedołężnego i przez carową narzuconego króla.

Krasiński widział, że Polska bez pomocy,

czy to Turcyi czy to Austrii, o własnych siłach tego nie zdoła zrobić, bo za nadto rozdarta była przez różne stronnictwa i niezgody. Dla tego nie zgadzał się z Sołtykiem na opór bezskuteczny, ale podług swego planu działać postanowił.

Naradziwszy się w Warszawie z kilku prawymi obywatelami i plan swój wyjawwszy, lękając się aby go Moskwa nie schwyciła, uciekał za granicę. Ścigany i poszukiwany od żołnierzy rosyjskich, przebierał się już to jako doktor, leczący chorych po dworach, już to jako pruski oficer i tak wydostał się szczęśliwie za granicę do Szląska. Tutaj osiadł w Cieszynie i rozesłał na wszystkie strony listy i posłów, tak do Wiednia jak i Konstantynopola, by Austriaków i Turków skłonić do pomocy. Turcja jednak, chociaż Moskali nienawidziła, nie bardzo się kwapiła do téj pomocy, bo Katarzyna pchała ministrom tureckim do kieszeni pieniądze. Austria zdawała się sprzyjać, dała schronienie u siebie wrogom Moskwy, pozwalała im czynić wszystko na oswobodzenie kraju, ale nie zabierała się do czynnej pomocy. Gwałty, jakich się dopuszczał poseł rosyjski, gospodarowanie wojsk moskiewskich jako w podbitym kraju, a ostatecznie ustawy sejmu z r. 1768 wydane po wywiezieniu biskupów, a oddające Polskę zupełnie w ręce Moskwy, oburzyły do

najgłębszego cały naród. Prawi obywatele porozumiewać się poczęli, widząc jedyną nadzieję w powstaniu zbrojnym całego narodu. Gdzie niegdzie sprzysięgano się już z sobą, bardzo jednak ostrożnie, ponieważ Repnin licznych miał szpiegów.

Adam Krasiński, od którego wyszła pierwsza myśl utworzenia tajemnego związku, czynny i niezmordowany, pracował z jednej strony nad skłonieniem obydwóch królów obcych do pomocy, z drugiej zaś utrzymywał ciągle stosunki z głównymi przywódcami dobrych Polaków, zachęcając ich do wytrwałości i odradzając wszelką porywczosć, któraby wywołała przedwczesny wybuch szkodliwszy ojczyźnie, niż jej wrogom. Nie wszyscy jednak zgadzali się na plan biskupa, rozciągający się może na długie czasy. Wielu było takich, którzy pragnęli co żywo rozprawić się z Moskalami i z kraju ich wypędzić. Na czele tych gorętszych patriotów, rwiących się do boju, stał Józef Puławski, i on też pierwszy podniósł oręż przeciw Moskwie. Ztąd imię Józefa Puławskiego wielkiego jest znaczenia w historii Polskiej. Potomek dawniej szlachty, rozpoczął swój zawód w sądzie, gdzie długi czas był mecenasem (adwokatem) i jako taki pełnomocnikiem Czarotorskich. Później za wpływem tej rodziny, otrzymał starostwo wareckie, i kilka razy był

posłem na sejmy. Wtajemniczony w plany Krasińskiego, nie mógł wytrzymać, patrząc na codzienne gwałty i bezprawia moskiewskie i wzgardę okazywaną całemu narodowi. Porozumiał się z znakomitszymi panami w całej Warszawie i otrzymał od nich nie tylko przyrzeczenia poufne, że przystąpią sami do zbrojnej konfederacyi, ale jeszcze rozkazy do ich dóbr, aby tej konfederacyi oddały zbrojne hufce*) nadworne. Wysłał potem trzech synów i synowca na Podole, aby w tém województwie sąsiadującym z Turkami, a wolném dotąd od załóg moskiewskich, przygotowali powstanie, uzbroili tylu ludzi, ile tylko się uda. Sam pojechał do Lwowa, ale gdy bezpiecznym się niewiedział, wyruszył również na Podole. Tutaj zawezwał do miasteczka Baru wszystkich z goliwości mu znanych obywateli. Zjechało się zaraz kilku patryotów, którzy zagrzani ognistą przemową starego Puławskiego, uznali niezbędną potrzebę wzięcia za oręż w obronie zagrożonej wiary i wolności, i zawiązali konfederacyą.**)

*) Każdy z znakomitych panów polskich miał na swym dworze wojsko, które utrzymywał, i które miał na skinienie.

**) Konfederacye różne od dawnego już czasu w Polsce zawięzywano. Konfederacya, nazywał się związek obywateli, którzy w kraju jakie nowe prawa przeprowadzić lub stare zachować postanawiał.

zachęcali wszystkich obywateli do łączenia się z konfederacją na zrzućenie jarzma moskiewskiego; tych którzy mieli oddziały zbrojne, wezwali do oddania ich konfederacyi, wszystkich innych zobowiązano, aby dostarczyli ludzi zbrojnych wedle rozległości majątków. Marszałkiem konfederacyi obrano Michała Krasińskiego, brata biskupa i podkomorzego rożańskiego, a naczelnikiem wojsk, Józefa Pułaskiego.

Konfederacya ta jest nazwana Barską, a to od miasta, w którym się zawiązała. Tak dobry przykład nie pozostał bez naśladowania w innych ziemiach i województwach Polskich, Gdzie tylko Moskali nie było, robiono powstanie i zawięzywano konfederacye pod różnemi nazwiskami, ale w jednym celu, wypędzenia Moskwy. Walka toczyła się tylko podjazdowa, partyzancka z małemi oddziałami — a nie otwarcie z wielką liczbą wojska. Ponieważ jednak nie było głowy, aby to wszystko zorganizować, i złączyć do wspólnego działania ponieważ naczelnicy konfederacyi siedzieli zagranicą, a ztąd nie mogli tak rozporządzać jak było potrzeba, ponieważ niezgoda klóciła ustawicznie wodzów, i przeszkadzała energicznemu prowadzeniu wojny, powstanie się nie udało, ojczyzny nie wyswobodziło, mimo wielu bohaterstwa, męstwa nie porównanego i rozlicznych zwycięstw. Owszém, kiedy pojedyncze oddziały

rozproszone zostały, kiedy upadł duch, nastąpiło
 znużenie w narodzie, przyszło do dawno uło-
 żonego i ulubionego zamiaru carowej do po-
 dziálu Polski w r. 1772. Pięć jednak lat walki
 ustawicznój tak są pełne bohaterskich czynów,
 poświęcenia za ojczyznę, tyle mężnych i od-
 ważnych występuje postaci, że bodaj kiedy dzie-
 je nieszczęśliwego narodu podobny widok
 przedstawić zdołają. Gdyby wszystkie ważniej-
 sze zdarzenia chcieć opowiedzieć, urosłaby nie
 jedna książka i dla tego niektóre tylko zda-
 rzenia z téj długiej walki opowiemy i znaczniej-
 szych przedstawimy bohaterów. Po gorących
 odezwach przybywało do Baru coraz więcej
 zbrojnej szlachty i wojsk już to koronnych, już
 téż poczty panów pojedynczych z Podola
 i Ukrainy. Król wchodzi przez znanego nam
 Mokronowskiego w układy z konfederacją. Nic
 jednak nie wskórał, tylko Moskałom dał czas
 zgromadzić siły i poprzecinać konfederatom
 komunikacye z innemi województwami. Po
 różnych szczęśliwych i nieszczęśliwych z Moska-
 lami i własnymi rodakami, służącymi pod kró-
 lewskimi chorągwiami utarczkach, zamknęły
 się wojska konfederackie w Berdychowie i Barze,
 ale długo utrzymać się nie mogąc, poddać się
 musiały. Znaczniejsi konfederaci jak Pułaski
 i Potocki udali się pod opiekę Sultana.

S17 Straszniejszą jeszcze burzę przeciw konfe-

deratom wywołała carowa Katarzyna na Ukrainie, w części Podola i Bracławskiém, posyłając popów schizmatyckich i kozaków zaporozkich czyli hajdamaków pomiędzy lud schizmatyckiej wiary, aby podżegali go do mordów i buntu. Rzeź tę straszną, że aż wzdryga się człowiek, czytając jój opisy, rozpoczął Żeleźniak, ataman Zaporozców i Melchizedek opat motreńskiego klasztoru, schizmatyckich Bazylianów. Przeprawiwszy się Żeleźniak przez Dniestr na czele zebranej dość licznej bandy kozaków zaporozkich i ukraińskich, rozpoczął zaraz piekielne zniszczenie. W każdej wsi, do której ta czereda hajdamacka przybyła, zwoływano włościan, a podżegając ich ognistemi przemowami do fanatyzmu religijnego i łupy im obiecując, zabijano wszystkich katolików, unitów i żydów, a szczególniejszą szlachtę, palono dwory i miasteczka. Znacząc ślad pochodu swego rzezią i pożogami, posuwały się te zgraje coraz liczniejsze, a pijane krwią i wódką w dalszą Ukrainę, niespotykając nigdzie oporu, ponieważ wojska polskiego tam nie było, a Moskale nie myśleli przeszkadzać rzezi. Okrucieństwa, jakich się hajdamacy wraz z chłopstwem dopuszczali, przechodzą wszelkie wyobrażenia. Wszędzie koło gościńców można było widzieć szubienice, a na nich wiszących Żyda, Polaka i psa z napisem: *Żyd, Lach i sobaka to wiara jednaka*. Nie

przebaczano ani kobietom, ani dzieciom; rozbicie tego motłochu do tego doszło stopnia, że kobiety zabijały pralnikami oddanych im na pastwę ludzi; że spędzonych jeńców zakopywano aż pod głowę w ziemi, a potem kosami ścinano im głowy; pomijamy inne okrucieństwa. Tysiące ludzi, zagrożonych śmiercią, uciekało na wieść samą o zbliżaniu się hajdamaków do miejsc nieco warowniejszych, które z małemi wyjątkami padły pod nożem hajdamackim. Wielu bardzo schroniło się do miasta Humania, jako tako obwarowanego, własności Potockiego, wojewody kijowskiego. Zarządcą warowni i dóbr wojewody był Młodanowicz, człowiek bez sprężystości i tracący łatwo głowę. W zamku było, prócz zwyczajnej załogi i dworskich kozaków, mnóstwo szlachty, która tu szukała schronienia. Kozakami dowodził Gonta, ulubieniec wojewody i kum Młodanowicza, który go téż wysłał przeciw hajdamakom w stepy na zwiady. Gonta połączył się z Zeleźniakiem i na Humaną wyruszyli. Młodanowicz stracił głowę. — Kiedy tłumy pijane podstąpiły pod Humaną, Młodanowicz wchodzi w układy z Gontą i otwiera bramy. Zaledwie je otworzono, rzuciły się rozbewstwie tłumy do rzezi.

Żadne pióro nie opisze tych strasznych okrucieństw, jakie się tu działy. Wszystkich co do nogi wymordowano, około 20,000 ludzi wśród

najokropniejszego pastwienia; kilka studni za-
pełniono samymi tylko chłopcami. Zaledwie kilka
osób jakoby cudem się ocaliło. Ztąd rozlała
się ta horda dalej i niosła spustoszenie. We-
dług późniejszych obliczeń wymordowali hajda-
macy około 100,000 ludzi.

Przyszła jednak kara na tych rozbójników.
Moskale, widząc to okropne spustoszenie, poło-
żyli sami temu koniec. Gonta został zamor-
dowany straszną śmiercią, bo mu żywcem z ciała
pasy darto.

Po nieszczęśliwem zakończeniu konfede-
racji, starali się konfederaci skłonić Turcyą
do wojny, co się téż w końcu udało. Gdyby
konfederaci i kraj byli silnie poparli Turków,
niezawodnie byliby ztąd korzyści jakieś odnie-
śli. Ale niesnaski i rozdwojenie, które zaczęły
się zaraz po klęsce pod Barem, wybuchły z pod-
wójną zaciekłością. Józefa Pułaskiego oddali
konfederaci Turkom i uwięzić go kazali. W wię-
zieniu téż, zdradzony haniebnie od swoich,
umarł ten wielki mąż, czystą miłością dla oj-
czyzny tchnący. Turcy krótką tylko przeciwko
Moskwie toczyli wojnę. Wnet na dworze Suł-
tana zawiął inny wiatr i wojska odwołano.
Przez wkroczenie Turków, odżyły nadzieje Po-
laków, porodziły się liczne konfederacye we
wszystkich nieomal województwach, które na
swoją rękę po ustąpieniu Turków biły się z

Moskwą z rozmaitem powodem, aż ostatecznie dla braku organizacyi, niezgód i kłótni, dla słabego rządu naczelników konfederacyi, siedzących za granicą i przewagimoskiewskięjuległy. Przechodzimy do opisu najznacniejszych postaci tego pięcioletniego powstania i niektórych szczegółów.

VI. Ksiądz Marek.

Zaraz na samym początku powstania przywiązał się do konfederatów karmelita, ks. Marek, przeor w Barze i pełnił w obozie obowiązki kapelana. Imię jego wielki miało rozgłos pomiędzy konfederatami barskimi. Ojciec Marek miał lat około 45, był obyczajów surowych i czystych, pełen świętobliwości. On to przebiegał wsie i miasteczka i ognistemi przemowami pobudzał do obrony ojczyzny, w bitwach do mężstwa zagrzewał, godził zwaśnionych, przyrzekał wolność, i garnał coraz więcej wojowników około siebie. Konfederaci uważali go za cudotwórcę i proroka. Dużo takich cudownych o nim opowiadają rzeczy. Już w tém był cudownym mężem, że najdumniejszych panów

i najburzliwszą szlachtę tak był radą swoją sokołował, taką ufność ku sobie zyskał, że chyba gdzie go nie było, tam się jedność przetrwała. A co dziwniejsza, że wszystkich w wytrwałości utrzymywał, bynajmniej płonnych nadziei nie robiąc. Owszém słyszano często jak mawiał; „że Pan Bóg nie da nam szczęścia, że wielkie klęski spadną na ojczyznę, ale że trzeba swoją powinność zrobić. Nie wielka to rzecz dodawał, iść za sprawę pomyślną; któż z wiatrem nie popłynie? ale kto się poświęca za sprawę świętą choć nieszczęśliwą, tego Pan Bóg kocha, a usiłowania nie przepadną, bo On je pobłogosławi.“

„Człowiecze“, kazał on po odebraniu wiadomości o klęsce konfederatów kiedy wielu innych już stygnąć zaczęło; Człowiecze, bez ciebie Pan Bóg cię stworzył, a bez ciebie nie zbawi. Toż samo z ojczyzną. A wiele to świętych, co swój żywot na pokucie trawili, oprócz Boga nic znać nie chcieli, a spokoju znaleźć nie mogli i skłonności wewnętrznej Bóg niczem nie raczył odwilżać? A czyż oni wtedy mówili: niema ratunku, wszelka nasza praca daremna, wolemy się z czartem pogodzić. Nie! nie bracia moi! jeszcze więcej podejmowali tych na pozór bezowocnych trudów, i Pan Bóg w porze przez siebie zamierzonej sownie wszystko nadgrodził. Toż i z ojczyzną! niech jój syny

dla niej znoszą przeciwności, niech pracują a pracują, nie zrażając się, że Bóg pociechy nie daje, aby się z czartem nie godzili; Pan Bóg znajdzie czas na wszystko. A powiedzieć że ofiara czysta za ojczyznę zrobiona, u Niego nie waży, jest to równe bluźnierstwo, jakby twierdzić że Jego niema.“ I takimi słowy rozżarzył już gasnący związek.

Razu jednego miał kazanie, nie pamiętam w jakiej okoliczności, w którym mówił: „Ojcowie, ledwo kęsa sobie nie odejmujecie, aby dzieciom i wnukom dostatków rozszerzać; nie śmiem wam to naganiać, bo i bogactwo jest darem Bożym; byle uczciwie, zbierajcie dla potomstwa, a godziwe w tym celu prace Bóg pobłogosławi. Miejcie podobną cierpliwość i w ważniejszych rzeczach. Cieszycie się nadzieją, że dzieci i wnuki dopiero korzystać będą z prac waszych; cieszcie się więc, że choć trudy i kłęski znosicie teraz, wasi potomkowie będą wolnymi, bo bez ojczyzny, bez wolności, na co im by się przydały dostatki? Nie jest bogatym, kto posiada to, co mu może być wydartem lada chwila przemocą.“

Było to w obozie pod Jędrychowem, gdzie mieszkał Ankwicz, kasztelan Sandecki, Pan godny i konfederatom sprzyjający. Pan Bóg nie pobłogosławił go w synie, bo w jego ślady nie wstępował. Otóż ten zasłużony senator, star-

szynę konfederacką zaprosił na wielki obiad do swojego zamku, a dla prostych żołnierzy na dziedzińcu były zastawione stoły, bo wszystkim nie było sposobu pomieścić się razem. Cieszyli się i bawili wszyscy na dobre; a w sali za stołem siedział między panami ks. Marek, o którym wiedział J. W. Kasztelan, co to był za człowiek. Spełniono rozmaite zdrowia wodzów dobrej sprawy; po każdym zdrowiu wiwatówki słyszeć się dawały, aż ks. Marek powstawszy i nalawszy kielich: „JJ. WW. Panowie, odezwał się, pozwólcie mnie wniesć jedno zdrowie“ i zaprosił ich z sobą na ganek, tam podniósłszy oczy do góry, chwil kilka zostawał jakby w jakimś zachwyceniu, a potem: Chwała wieczna Przenajświętszej Trójcy! i spełniwszy kielich, przeżegnał nim chmurkę nad nami wiszącą. Natychmiast, jak zaczęło błyskać a grzmieć; raz poraz siedm razy piorun uderzył, że aż wszyscy zaczęli tulić się do księdza, prosząc go by dał pokój, a wyznając iż się mocno przełękli. Ks. Marek na to: „nie bójcie się moje dzieci, Pan Bóg błogosławi zabawy nasze“ i przeżegnawszy chmurkę drewnianym krzyżem, co go z paciorkami nosił u boku, wedle karmelitańskiego obyczaju, ona wnet się rozeszła i najpiękniejsza wróciła pogoda.

A pod Rzeszowem jeszcze lepiej mu się udało. Obóz przytykał do Rozwadowa. Moskwa

pokusiła się konfederatów z niego wyparować, i była o to gorąca rozprawa, ale konfederaci porządnie ją wytłukli, że aż ze wstydem musiała się cofać do swoich szanów pod Przeworskiem; więcej stu ludzi zabrali Polacy w niewolę, nie licząc co zabili. Ks. Marek na koniu, a zamiast szabli krzyż w rękę trzymając, pokąd potyczka trwała, wszędzie się znajdował i kilka razy był dońcami obskoczony. On był dla nich łakomą zdobyczą, gdyż wiedzieli, co to było z niego, i że on dla nas lepszy niż sto armat. Tak na niego ostrzyli zęby, że gdyby on i jakikolwiek z naszych wodzów, ledwo nie sam pan Kazimierz Puławski, uciekali przed nimi, a każdy inszą stroną, niewiem jeszcze za którym prędkiej by poszli w pogoń, jeno że jako lud niewierny, nie znali się na jego świętobliwości, ale myśleli że on czarta sobie shołdował, a ten za jego rozkazem te wielkie sprawał dziwy, na które patrzeli. Obskoczyli go; konfederaci téż dzielnie go bronili, a on do nich: „nieuważajcie namnie moje dzieci, a swoje róbcie, oni mnie dziś rady nie dadzą. Posłuchali go, bo jak takiego nie słuchać? i to im posłużyło, bo wielu z nich zanim się cietrzewiło, a Polacy dusili ich jak swoich. Co natrą na księdza, by go na spisy porwać, to spisy powietrze kolą mimo habita, a ksiądz się tylko uśmiecha, że dońce ze złości aż z rozumu od-

chodzą; a na końcu widząc, że lubo ani żelazo ani olów jemu nie szkodzi, ale że przecież nie złego im samym się nie robi, dalej próbować rękami go porwać, ile że koń księdza Marka nie był zwinny, a on sam jako zwyczajnie kapłan, po łacinie siedział, ale co się który przybliżył to jak go swoim krzyżem przeżegna, kozak na ziemię bęc jak długi, i tak kilkunastu położył, że każdy lubo bez szwanku wstał ale utracił konia. Dopiero kozacy zaczęli co prędzej uciekać do swoich i krzycheć żegnając się po swojemu: czart Lachów broni! a konfederaci za nimi, że gdyby nie ich przeklęte armaty obóz byłby się im dostał.

Ale nie na tém koniec. Wróciwszy ze sławą i zdobyczą do obozu, Pułaski kazał otrąbić capstrzyk, po którym już nikomu nie było wolno wyjść z obozu, i sam poszedł do swego namiotu z panem Góreckim, co jako oboźny był od niego nieodstępny. Zabierał się do wczasu, aż ks. Marek brewiarz swój przy ognisku obozowym odprawiwszy, poszedł do namiotu wodza, a zastawszy go już leżącego rzekł: przepraszam pana starosty Dobrodzieja, że tak późno przychodzę mu dokuczać, ale go mam o wielką łaskę prosić.

— Mów księżu co mamy i co mojém, jest na twoje rozkazy.

— Proszę mnie pozwolić wyjść z obozu.

— A dokąd myślisz się udać?

— Zaraz trzeba mi być w obozie moskiewskim.

— W imię Ojca i Syna i Ducha św., a ty tam po co mój księże, jaki interes?

— Wielki interes panie starosto, bo Pan Bóg mnie tam iść kazał; ale ani z klasztoru bez woli przeora, ani z obozu bez woli wodza wychodzić nie pozwala. Pan Bóg dopiero mnie objawił, że we wczorajszej potyczce jeden pułkownik śmiertelną ranę odebrał i przededniem skończy. On z naszej wiary a chociaż się między nimi rozpaskudził, Bóg łaskawy pozwolił mu pragnąć księdza. Trzeba mi go na śmierć dysponować.

— Mój księże, ty lepij znasz swoją rzecz niż ja, ale pozwól sobie tylko powiedzieć, że blisko trzech mil do obozu, jeśli ma przededniem umrzeć, byś i jak leciał, w porę nie trafisz, trupowi nie pomożesz, a wpadniesz w ręce, co ciebie umęcza. Czart porwij Moskala, a wolisz się wyspać.

— A nie godzi się tak mówić panie starosto. Pan Jezus dał się umęczyć za tych łotrów jak i za nas. A że czasu mało, to pokój dobry. Kiedy Pan Bóg mnie każe iść ze sobą poradzi bym w porę trafił, a ja dla tego jutro będę miał mszę świętą w naszym obozie.

— Ale czy tylko powrócisz!

— Na którą godzinę pan każesz wyjść ze mszą świętą. A kiedym ja to był panu nieposłuszny?

— Kiedy tak, każę ci na ósmą z rana powrót twój mnie zameldować. Ruszaj więc z Bogiem, dokąd On ciebie poprowadzi: ale pamiętaj że mnie w wielkiej niespokojności zostawiasz. Weźmij przynajmniej jakiego mojego konia, bo z twoim podjazdkiem nie daleko zajdziesz.

— Ja piechotą trafię byle pan mnie każeł przeprowadzić za przednie czaty, aby mnie nikt nie zatrzymał, bo tu tylko pan masz prawo rozkazy dawać.

— Panie Januszu! obrócił się pan Puławski do pana Góreckiego, przytomnego téj rozmowie, każe księdza Marka przeprowadzić po za obóz.

Ale pan Janusz, co na nikogo nie nie zdawał, sam go poprowadził, by przytém jeszcze się przekonać, czy straż swojej powinności dopełnia. A ksiądz Marek ostatniego sztyldwacha przeszedłszy, pożegnał godnego przewodnika; i że było ciemno jak w worku, natychmiast zniknął z jego oczów.

Jak się tam on dostał, to tylko jemu i Panu Bogu wiadomo, dość że chociaż w obozie nieprzyjacielskim były straże, przychodzący nawiedzać umierającego pułkownika, z wiel-

kiem podziwieniem zastali księdza przy chorym, który go słuchał z wielką pobożnością i skrucą, a mimowolném uszanowaniem przejęci, stali przy wnijsciu namiotu, aby im nie przeszkadzać. Tak ksiądz Marek wedle woli Pana Boga, którego z sobą przyniósł, ocalił choremu duszę, opatrzył go sakramentami, i nie opuścił, pókad ducha nie oddał, co rychło nastąpiło.

Dopiero Moskale, co namiot otaczali, do niego, bo go poznano, ile że tam byli tacy, co go dnia wczorajszego widzieli na koniu, tacy nawet, których przeżegnaniem z koni pozsa-
dzał; a prócz tego imię księdza Marka było głośne między nimi.

— A to ty, co czartów na nas zwabiasz? obaczym, czy oni ciebie z rąk naszych wyrwą? i zbliżali się do niego, jednak z obawą; ale że nie znikał im z oczu, a żadnemu nic złego się nie stawało, ośmielili się i wzięli go w ręce. Oto była pociecha, że im się udało!

Przecież, mówili, nie zawsze czart tobie dopisuje. Wielki Bóg ruski, starszy czynem. W Sybirze dowiesz się, jaka nagroda tym co kule i spisy carowej zmawiają.

A radość w całym obozie, że takiego po-
imali brańca. Wyprawiono go zaraz do Lwo-
wa, gdzie był książę Repnin; związali mu nogi i ręce i posadzili na wozie, między dwoma so-

tnikami dońskimi, jakich znaleźli najdoświadczeńszych a pięćdziesiąt koni otaczało wóz, żeby go nikt widzieć nie mógł, i by go po drodze nie odbito, choć między Lwowem a Przeworskiem żadnego z naszych nie było, ale strach ma wielkie oczy. Ksiądz Marek nie był rad rozmawiać z oprawcami, ale oni ciągle gabali go, bo była gadka między Moskalami, że jak się zamyśli, z czartem rozmawia i w ptaszka umie się przerzucić: ile razy się zamyślał, szamotali go sotnicy, aby im nie uleciał, i ciągle go ściskali rączyskami, że aż sińców podo-
stawał.

Jadą tedy do Lwowa, jadą aż ledwo siódma wybiła i komenda i wóz wjeżdżają gdzie? może do Lwowa?.... wcale nie — ale wprost do konfederackiego obozu, gdzie dnia tego straż trzymali ludzie pana Franciszka Dzierzanowskiego. Kozacy dopiero się opamiętali, kiedy pułkownik przybliżył się powitać księdza i krzyknął głosem piorunującym, pokazując na sotników.

— Ściągnąć mi natychmiast tych łotrów z wozu! — a kozacy co na koniu siedzieli, nazad w nogi. Pułkownik, co nigdy z swoim sztućcem się nie rozstawał, dał ognia, ale spudłował; kazał za nimi w pogoń, ale nim się nasi zebraли, dońce z przed oczu zniknęli, wicher chybaby ich dognał, a sotników kazał odprowa-

dzić do pana Puławskiego, który sam przybiegł na hałas strzału, by się dowiedzieć co to jest.

Tam dowiedział się o wszystkiém, i obaczył sotników powiązanych i pomieszanych, i w lewó i w prawo obląkanym wzrokiem obracających, że do zwierza podobniejsi byli. Ks. Marek do pana Puławskiego:

— Proszę pana starosty, kazać rozwiązać moich przewodników i swobodnie ich puścić: oni na moją wdzięczność zasługują, wszakże oni mnie tu przywieźli.

A że nikt u nas księdzu Markowi się nie opierał, pan starosta kazał ich puścić z wielkim żalem pułkownika Dzieżanowskiego, co koniecznie przekładał, że to byli brańcy jego ludzi, zatém do niego należą. Ale z panem Puławskim krótka sprawa, puszczone ich na wolność wedle woli księdza Marka, a oni wszystkim do nóg, a najwięcej jemu, przepraszając go, iż wazyli się porywać na cudotwórcę; a potém ze łzami poczęli go błagać, aby im swoją czapkę podarował, że oni ją między siebie podzielą, a tém się zasłonią od kary, która na nich czeka w ich obozie za to, że rozkazu nie dopełnili. Nie mógł się oprzeć ksiądz Marek i oddał im co żądali, ale jak tylko odszedł, by się do mszy gotować, p. Franciszek Dzierżanowski czapeczkę kazał im odebrać.

— A co to, mówił, my na siebie broń oddawać tym hultajom?

Odebrał także raport przy nich będący do księcia Repnina, ale ich samych puścił, jako to miał rozkaz.

Jak się konfederaci później dowiedzieli, i sotników i ich komendę cały dzień kijmi bito w ich obozie i na tem się skończyło.

Takie i wiele innych rzeczy opowiadają o księdzu Marku, że miewał często natchnienie, że prorokował przyszłość. Kilka z tych przepowiedni zachowało się do tego czasu. Ile w tych wszystkich zdarzeniach prawdy, trudno dzisiaj wiedzieć. Dość, że wskutek swój gorącej miłości i poświęcenia dla ojczyzny umiał się takim otoczyć urokiem przed wojownikami, że go słuchali jak Ewangelii, nawet w takich rzeczach, na których się nie znał. On to bowiem poradził konfederatom bronić się przeciwko przeważnej liczbie Moskali w Barze licha obwarowanym. Bar musiał się poddać. Moskale zabrali księdza Marka w niewolę i niezawodnie albo udusili, albo w więzieniu zgnoli. Od tego bowiem czasu przepadł ksiądz Marek jak kamień w wodzie.

VII. Kazimierz Puławski.

Kazimierz Puławski, to najznakomitsza postać całej konfederacyi. Od samego początku wziął udział w wojnie przeciw Moskalom, i do samego końca bez znużenia z żelazną wytrwałością ustawicznie staczał walki. Pobity na jednem miejscu, znów się zjawia na drugiem i znów bije Moskali. Czytając jego czyny wojenne, poznamy całą nieomal historią tego zbrojnego powstania barskiego.

Kazimierz był synem Józefa Puławskiego, który zawiązał konfederacyą, drugim z kolei. Starszy nazywał się Franciszek, młodszy Antoni. Wszyscy pospieszyli chętnie na wezwanie ojca w szeregi. Franciszek zginął śmiercią walecznych pod Łomazami. Antoni został schwytany i na Sybir popędzony, przez Moskali demoralizowany i na wolność wypuszczony, na grzeszną rzucił się drogę, zdradzając ojczyznę i ziomków.

Kazimierz Puławski liczył zaledwie lat dwadzieścia i kilka, gdy zawiązana w Barze konfederacya powołała pod broń kraj cały. Wezwany od ojca na wieś, kilka mil od Warszawy, był świadkiem zawiązania konfederacyi, a po wysłuchaniu porywającej jego mowy przysiągł wraz z braćmi swymi, że nie opuści ni-

gdy sprawy ojczystej, i że gotów zginąć, jeśli jej ocalić nie zdoła. Zaraz nazajutrz po owęj przysiedze rozpoczął czynne działanie; wysłany przez ojca do dóbr rodzinnych na Podole, zebrał tam i uzbroił sto kilku dziesięciu kozaków i przyprowadził ich do Baru.

Podole było najstósowniejsze do zebrania licznych hufców zbrojnych, potrzebnych do walki z Moskwą, bo prawie zupełnie z Moskali ogołocone było. Wielkie obszary ziemi utrudzały zbieranie się drobnych oddziałów moskiewskich, które były za słabe, aby stawiać opór. Nadto przemawiała za Podolem nadzieja posiłków tureckich i tatarskich. Tymczasem, jakeśmy już wspomnieli, kilka tygodniowe układy z wysłannikiem króla, Mokronowskim dały czas zebrać się Moskałom. Rozpoczęły się harce z różnym szczęściem aż dopóki zdobycie Baru nie zadało dotkliwego ciosu konfederacyi.

Reszta rozpłoszonych konfederatów, goniona po Rusi i różnemi klęskami niszczona, zamknęła się w fortecy berdyczowskiej. Miasteczko Berdyczów, sławne jarmarkami i obrazem Matki Boskiej w kościele ks. Karmelitów, gdzie podobnie jak do Częstochowy gromadził się lud na odpusty, leży o mil kilkanaście na północ od Baru.

W połowie lata 1768 r. otaczał lud mnogi

zbrojny klasztor, ale to nie lud polski. W jasno wschodzącém lipcowém słońcu świeci się broń lśniąca i podnoszą się ze snu twarze służalcze: to Moskale, oblegający już od trzech tygodni berdyczowski klasztor, a w klasztorze broni się z garstką walecznych Kazimierz Puławski.

Wysłany bowiem przez ojca, wyruszył młody Kazimierz w 1300 ludzi, aby wypędzić z okolic Berdyczowa Moskali. Pierwsze jego kroki były szczęśliwe, odniósł znaczne korzyści, odparł nieprzyjaciół, ubił im mnogość ludzi i zabrał im kilka set w niewolę.

Opanowszy następnie miasto, utwierdził zaraz tameczny klasztor. Chciał tu zostawić załogę do obrony tego ważnego dla armii konfederatów stanowiska. Ledwie atoli rozpoczęte na prędce skończył utwierdzenia, nadbiegły inne oddziały moskiewskie w pomoc tym, których zwyciężył i prawie całkiem rozpędził; a zabrawszy rozproszone niedobitki podstąpiły wraz z nimi pod miasto. 700 ludzi opatrzonych w dobrą artyleryą otoczyło go zewsząd i przecięło mu wszelkie związki z konfederatami. Ojciec wyprawił wprawił wprawdzie 1000 ludzi na odsiecz, lecz oddział ten napadnięty w drodze i zbity, musiał się cofnąć.

Młody Puławski bronił się przez całe trzy tygodnie z odwagą, którą sami Moskale po-

dziwiać musieli, chociaż każda wycieczka pod jego dowództwem nie mały im w ludziach czyniła uszczerbek. W końcu jednak zmusił go zupełny brak żywności do przyjęcia kapitulacji. Zgodził się na nią pod warunkiem jedynie, że wyszedłszy z miasta na czele oddziału swojego z wszelkimi honorami wojskowemi, będzie mógł się udać bez najmniejszej przeszkody, gdzie mu się będzie podobało. Lecz skoro Moskałe weszli do klasztoru, zatrzymali go téż jako więźnia wbrew zawartym układom, obustronnie podpisanym. Ofiarowali mu w kilka dni później wolność, ale pod warunkiem przyrzeczenia na piśmie, że skłoni konfederatów do złożenia broni.

Przyrzekł i wolność otrzymał — ale nie poczuwał się do obowiązku dotrzymania słowa tym Moskałom, którzy go haniebnie oszukali i również przyrzeczenia jemu danego nie dotrzymali. — Zebrał tedy znowu około siebie konfederatów, chcąc do ostatniego tchu życia za ojczyznę walczyć. I znowu się wszędzie postrach, zdumiewał wrogów zręcznością i śmiałością swoich obrotów. Nad brzegiem Dniestru przedsięwziął kilka bardzo szczęśliwych wycieczek, które zaopatrzyły w żywność obóz konfederatów i inne potrzeby na dwa przeszło miesiące. Były to najświetniejsze chwile dla Kazimierza.

Nadeszła zima r. 1768 złowroga i straszna dla naszych. Moskale otrzymawszy posiłki, opanowali wszystkie twierdze i najkorzystniejsze stanowiska. Wojsko konfederatów rozbiło się na drobne hufce, które nie mogąc stawić czoła snującym się nieustannie kozakom, kryli się po lasach i rowach jak dzikie zwierzęta. Pomimo to nie opuszczali sprawy ojczystej i woleli umierać śmiercią srogą, aniżeli odstąpić od powziętego zamiaru jej oswobodzenia. —

Zuśmiechem na ustach ginęli dzielni obrońcy wolności, a tam w domu obracano w perzynę ich własność, mordowano żony i dzieci. Moskwa mściła się na konfederatach z bezprzykładną surowością.

Trzej Puławscy utrzymywali się jak mogli. Z kilkunastu tysięcznej armii pozostało im zaledwie 800 ludzi. Ztą resztką cofnęli się ku Dniestrowi i zajęli dwa korzystne stanowiska na obu przeciwnych brzegach tej rzeki.

Był to wieczór ponury i wietrzny. Po niebie goniły ciemne chmury, a na ziemi wiatr huczał przeraźliwie i bijąc porozrywanemi lodami Dniestru, piętrzył je w góry wysokie.

W tej chwili słońce zachodząc, przez szczelinę chmur jasnym zabłysło promieniem, i oświeciło dwie młode postacie, które na czele li-

czniejszego orszaku konnych objeżdżały brzeg rzeki. Było to niedaleko Chocimia.

Dniestr huczał, pędząc krętém korytem i bił ze złością o wyniosłe brzegi. Po jednej jego stronie rozłożyło się miasteczko Żwaniec z walącemi się murami i głębokimi fosami, a za niém rysowały się wały Chocima. Po drugiej skała prostopadła panująca nad rzeką, a na skale wznosiły się zwaliska dawniej twierdzy, zwane Okopami św. Trójcy, założone jeszcze przez Jana Sobieskiego dla utrudnienia dowozów do Kamieńca od Turków zajętego.

Dwaj młodzi towarzysze zwrócili wzrok swój ku tym zwaliskom. Stanęli, a z nimi cały orszak się zatrzymał. —

— Moskale nadciągają chmurami szarańczy! odezwał się starszy i w krótcie niepodobna będzie obrona. Mam zaledwie 450 ludzi, wycieńczonych trudami i głodem, kazałem ponawiać stare utwierdzenia i nie opuszczę mego stanowiska, bo chcę ułatwić Tatarom i Turkom nadesłanie przyrzeczonych posiłków.

— Bracie! odrzekł drugi, rzucając się z niechęcią na koniu. Nie liczę ja nigdy na muzułmańskie posiłki, w które pan Potocki*) tak wierzy. Szabla i odwaga, to moi najwier-

*) Był to jeden z naczelników konfederacyi, którzy z zagranicy kierowali powstaniem i kołatali u obcych królów o posiłki.

niejsi sprzymierzeńcy, na inną pomoc nie licz i ty Frańciszkus!...

Byli to dwaj młodzi Puławscy — Kazimierz i Frańciszek; koło Frańciszka jechał brat ich młodziutki zaledwie 16 lat liczący. Pomimo że bardzo byli młodzi, znój wojenny i ciągle niebezpieczeństwo zahartowały ich ciała. Rośli w obozie i dojrzewali na mężów wśród huku dział, a pomimo tego byli weseli i pełni otuchy.

Wyjechali na wzgórze, położone na wyniosłym międzyrzeczu, opasanym krętym korytem Dniestru, na którego szczycie wznosiły się ruiny Okopów. Zsiedli z koni i oglądali wszystko z uwagą, osobliwie Kazimierz. Obchodził mury, mierzył okiem stromą spadzistość pagórka i z wielkim zajęciem badał najmniejsze szczegóły. Nareszcie odezwał się stanowczo:

— Tu się obwaruję i bronić będę!

Zdziwienie malowało się na te słowa na twarzach przytomnych.

— Niepodobna, ozwał się Frańciszek patrząc w twarz brata, bo nie widzę najmniejszej nadziei obrony. Przystęp możliwy jest tylko od strony Żwańca, od strony rzeki spadzistość jest tak stromą, że odwrót z tej strony byłby niemożliwym.

— Ja nie myślę o odwrocie bracie, odrzekł na to Kazimierz.

Bronić się chcę, nie chcę nagromadzonych
mych magazynów oddać w ręce wroga bez
krwawego okupu — zresztą Bóg sprzyja od-
ważnym! —

Wszelkie przedstawienia rozważającego bar-
dziej brata, były nadaremne. Rycerski i zu-
chwały duch Kazimierza nie pozwalał mu nic
rachować, nic przewidywać. Tego samego wie-
czera z garstką swoich zajął Okopy, obwaro-
wał je na prędce usypanemi baterjami i ludźmi
obsadził. Franciszek zaś pożegnawszy się z bra-
tem odjechał do Żwańca, mając zamiar zawę-
zwać pomocy załogi tureckiej w Chocimiu.

W dwa dni potem, w późnej już nocy,
niezmordowany dowódca okopów przebiegał
szańce i zagrzewał do wytrwałości i odwagi
towarzyszów broni. Obiegłszy ważniejsze punkta
i znalazłszy wszystko w porządku, usiadł na
kupie gruzów, z kąd był widok na pobliski Żwa-
niec i sparlwszy się na pałaszu, głęboko się za-
dumał. . .

W tém naraz wśród ciemności nocy czer-
wona zajaśniała luna. Zerwał się Kazimierz
i wyteżył wzrok: luna ogarniała domy Żwańca,
a w Żwańcu byli jego dwaj bracia.

Pierwszém jego uczuciem była chęć nie-
pochamowana bieżenia na pomoc bratu. I już
krzyknął na swoich i miał na ustach rozkaz
wyruszenia na odsiecz oblężonym w Żwańcu,

gdy w tém tentent konia dał się słyszeć i stanął przed nim towarzysz broni z pod komendy Franciszka.

— Co słyszać? zawołał Kazimierz.

— Wyruszyliśmy, naczelniku! pod mury Chocima i zażądali pomocy tureckiej — ale nam jej odmówiono.

Wiem, wiem odparł niecierpliwie Kazimierz. Czterdziestu jańczarów pomimo zakazu baszy przyłączyło się do was i zrobiliście kilka szczęśliwych wycieczek. Lecz cóż znaczą te łuny, co świecą w około?

To Moskale opanowali Żwaniec, ale naszych już tam niema. Uwiadomieni o zbliżeniu się liczego nieprzyjaciela cofnęliśmy się zawczasu przez Dniestr bez najmniejszej straty, a mnie wódz wysłał zawiadomić ciebie naczelniku, o tém co się dzieje.

Byli to istotnie Moskale. Otrzymaawszy rozkaz atakowania obudwóch braci ruszyli 22 marca 1769 z wszystkich punktów, które zajmowali. Stanąwszy na miejscu przeznaczenia, utworzyli półkole, którego oba końce opierały się o Dniestr, a w środku był Żwaniec, zajęty przez Polaków. Franciszek widząc, że niebawem może być zewsząd otoczonym armią przeszło 15-tysięczną przebył spiesźnie Dniestr i cofnął się bez szkody pod zasłoną wałów Chocimia, oczekując wieści od brata.

— Do broni! zagrzemiał głos wodza w Okopach. W mgnieniu oka wszystko było na stanowisku, a on sam istny rycerz bez trwogi, z płomienistym mieczem w rękę stał na czele...

... Świtać właśnie poczęło.

Huk armat dał się słyszeć. Ziemia za-tętniała od ciężkiego pochodu żołdaków, a gwar ten głuchy mieszał się okropnie z szumem zburzonego Dniestru i łomotem walących się domów.

Rozpoczął się bój wściekły, zażarty. Garstka walecznych na nagiej skale broniła się przeciwko całej armii carskich najemników i z nieustraszoną odwagą harde stawiała im czoła, a na ich czele młody Kazimierz, krwią zbрызgany biegał wszędzie, gdzie tylko większe było niebezpieczeństwo.

Z natarczywością zwierzęcej złości nacierali Moskale — z pogardą śmierci odpierali ich przemoc dzielni obrońcy ojczystej wolności. Przez dzień cały krwawa toczyła się walka, ale nadaremnie. — Okopy pozostały w rękach konfederatów.

Nadeszła noc. Moskale zapalili resztę pozostałych domów w Żwańcu i bój jeszcze zaciętszy rozpoczął się na nowo.

W około świeciły łuny palącego się Żwańca i dym gęsty otaczał mgłą czarną walące się jego gruzy.

— Zapalić domy, aby i nam jasno było! rozkazał Kazimierz. I w téj prawie chwili domy, otaczające okopy, w żywém stanęły płomieniu, by przyświecać walce.

Lecz już z dzielnych obrońców Okopów św. Trójcy dwustu tylko pozostało, a zamiar odparcia 6000 Moskali od początku niepodobny, za nadto drogo został opłacony. Garstka walecznych nie mogła, nie powinna była ginąć w obronie podobnej sprawy — lecz jakież środki ich ocalenia?

W tém cichy po obozie rozchodzi się rozkaz, by wszyscy w chwili jednej wsiedli na koń i opuszczając warownie cofnęli się ku płaszczyźnie, położonej na wzgórzu za Okopami, tworzącój kąt międzyrzecza.

Stanąwszy tam Puławski policzył wiernych i westchnął. Dużo braci zostawiał trupami na polu walki.

Natchniony myślą, jaka tylko jemu przyjść mogła, zsiadłszy z ulubionego swego gniadosza, wziął go za cugle i zmierzając ku stromemu wybrzeżu zawołał z zapalem: za mną panowie bracia! i począł się spuszczać na dół.

A w dole, w przepaści niezmierzonej, bieleło się głębokie koryto Dniestru i zdało się otwierać białe ramiona na przyjęcie ich trupów.

Słowa wodza były hasłem dla nieustra-

szonój drużyny. Przenosząc śmierć waleczną nad podłą niewolę, bez wahania poczęli się spuszczać wraz z końmi ślizką i straszną ścieżką, którą mało kto pieszo śmiał się udawać.

Gasnące z pogorzeli łuny migały jeszcze od czasu do czasu, a szum lodu, zgiełk i wystrzały pomiędzy zwaliskami ułatwiały odwrót konfederatom.

Widząc nie broniącą się warownię, zwycięstwa pewni, rzucają się na nią Moskale, ale tylko kupy gruzów z trupami zastają. Plusk koni słyhać w rzece.

— Turcy się przeprawiają! rozległ się popłoch w moskiewskim obozie. Spiesznie więc zawiedli działa na miejsce nadbrzeżne i gęsty rozpoczęli ogień, rzucając pociski nad głowami konfederatów.

Ten huk armat i noc ciemna uratowała naszych. Przebywszy z niebezpieczeństwem życia Dniestr, udając Turków o okrzykiem Allah! Allah! rzucają się na ustawione dla zamknięcia odwrotu oblężonym pułki moskiewskie, przeżynają liczne ich rotę i nikną w ciemnościach...

To była owa słynna obrona i odwrót z Okopów, jedyny może w historii!

Pomimo zwycięskiego odwrotu naszych, nie obeszło się bez ofiar. Franciszek opuszczając Żwaniec, wydając rozkazy, odjechał na chwilę kilkunastoletniego swego brata Anto-

niego, który mu zwykle towarzyszył; a gdy wrócił, już go nie zastał. Dziwnym trafem wpadł w ręce Moskali i dopiero wiele lat później w brzydkiej roli wystąpił znowu w kraju.

Po różnych kolejach, kiedy Moskwa coraz więcej gromadziła sił na Podolu i przeciwko Puławskiemu pomiędzy samymi konfederatami dużo się zrobiło bez powodu niechęci i podejrzeń, postanowił Kazimierz w inną stronę kraju się udać. Rozpuściwszy w obieg pogłoskę, że ma pod swemi rozkazami znaczne wojsko, rzucił się pod przybraném nazwiskiem w kierunku zupełnie przeciwnym temu, jakiego się dotąd trzymał.

W mieście Samborze niedaleko Dniestru połączył się z bratem Franciszkiem i tutaj według ułożonego planu, postanowili przedrzeć się na Litwę. — Pomimo różnych nieprzyjrznych okoliczności Puławskiemu głównie zawdzięcza konfederacyja dalsze swe powodzenie i istnienie.

Wzmocniwszy swe siły do 3000 ludzi, stoczył Kazimierz dwie szczęśliwe potyczki pod Brześciem i Słonimem, ale zazdrość pomiędzy Polakami i niezgoda nie dozwoliły mu korzystać z tych zwycięstw. Widząc tę niezasłużoną niechęć ku sobie, postanowił znowu w inną przetrzucić się stronę, aby powstrzymać, jeżeli była możność, resztę Polski nad krawę-



dział przepaści, którą pod nią zdrada i prywata nieustannie kopaly.

Puławscy przebijali się napowrót do kraju, chcąc dotrzeć do granic węgierskich, gdzie Kazimierz zostawił część swych bagaży. Ztąd zamierzał udać się albo na Ruś czerwoną, albo w Krakowskie, aby tam wspierać działania konfederatów. Lecz nie łatwo było spełnić to przedsięwzięcie. Przeszło 200 mil miał do przebycia, z całej zaś siły zbrojnej pozostało mu zaledwie 600 ludzi. Musiał się przebijać nieustannie najniegodziwszemi drogami, przez niedostępne prawie lasy, a trzymając się rzek i bagien, utrudniał tém nie mało swój pochód. Przytém musiał być w nieustannej gotowości do ucierania się z pogonią nieprzyjacielską. Wielka dusza Kazimierza nie zadrzała jednak na widok przeszkód lub niebezpieczeństw, gdy wypadało służyć ojczyźnie!

Ścigany krok w krok przez wojsko moskiewskie, oddał Kazimierz dowództwo bratu, a sam stanawszy na czele tylnej straży, złożonej z 300 ludzi powstrzymywał natarczywość Moskali. Ale kiedy Franciszek za nadto się oddalił, obskoczyli go Moskale. Hufiec jego cały zupełnie został zniszczony. Dziesięciu tylko ludzi ocalało z téj klęski okropnej, a ci pochwyciwszy wodza swego, który się bił jak zapamiętały, uprowadzili gdyby cudem z pola

bitwy. Tworząc niejako wał z ciał swych na około niego, dostali się szczęśliwie do lasu bliższego, w którego gęstwinie znaleźli schronienie. Następnéj nocy puścili się w drogę i mianowcami dostali się w końcu października za granicę węgierską, znużeni trudami i prawie umierający z głodu. Frańciszek dowiedziawszy się o klęsce brata, zwrócił się napowrót i rzucił z gwałtownością bez rozwagi na Moskali.

Z początku bitwy znikł zaraz Frańciszek i więcej go już nie widziano. Konfederaci poszli w rozsypkę. Nie można się było nic pewnego ani wówczas ani później dowiedzieć, jaki los spotkał dzielnego młodzieńca. Opowiadano sobie tylko, że suknie jego krwią zbroczone i kulami podziurawione wystawiono na widok publiczny w obozie moskiewskim i sprzedano nazajutrz po tém nieszczęsném spotkaniu.

Z pięciu zatém Puławskich, co się tak szlachetnie dla dobra ojczyzny poświęcili, pozostał sam tylko jeszcze Kazimierz. Chociaż przywiedziony do ostateczności, nie stracił ducha, pomścił jeszcze braci, ojca i ojczyznę. —

VIII. Puławski w Częstochowie.

Znalazłszy się znowu w głębi kraju, skierował Puławski swój pochód ku góróm karpackim, gdzie ze zwinnych i bitnych górali świeże począł formować zaciągi. Na ich czele liczne robiąc wycieczki przypomniiał się niebawem wrogom i krajowi, nie wychodząc jednak z gór, które go chroniły przed niespodziewanym napadem. Wieści o pomysłnych utarczkach zbierały koło niego nowych ochotników. — Na czele 300 ludzi czynił śmiałe wycieczki. Uderzając nagle i niespodziewanie z całą siłą rozbił moskiewskie oddziały, zabierał im szybko żywność, broń i zapasy wojenne i zanim zdążyli się sformować i do skuteczniejszego przygotować oporu, znikał szybko z placu i uchodził ich pogoni, aby w krótkce w inném miejscu z równie skuteczném uderzyć powodzeniem. Przez co stał się tak strasznym Moskalom, że go się bali. Puławski wzmacniał się co chwila, także i Moskale. Można było przewidzieć, że w krótkce do walnej przyjdzie rozprawy. Na czele żołdatów moskiewskich stanął Drewicz, człowiek okrutny, krwi i łupów chciwy i uderzył w 1500 kozaków na oddział Kazimierza, liczący tylko ze 400 ludzi. Kazimierz na czele swoich rzuca się naprzód ze

zwykłą szaloną odwagą. Łamie kolumny moskiewskie, a korzystając z zamieszania, naciera coraz śmielój. Liczba jednak nieprzyjaciół była przemagająca. Otoczony zewsząd, przerzedzał szeregi moskiewskie, lecz w téj samój chwili pojawiali się świeży zastępcy. Już siły słabły w nierównej walce. W tém niespodziewana naszym nadciąga odsiecz: 200 jeźdźców dobrze uzbrojonych pod dowództwem zręcznego i śmiałego wodza Szycy, rodem Węgrzyna — rzucają się na Moskali z całą wściekłością i przechylają szalę zwycięstwa na stronę Polaków. —

Drugie jeszcze zwycięstwo, odniesione na Drewiczu dodało nowego blasku sławie Kazimierza Puławskiego i ściągało doń coraz więcej wojowników.

Widząc się wnet na czele 1200 ludzi udał zamiar rzucenia się na Warszawę, czém chciał oszukać Moskali; a sprowadziwszy ich za sobą ku téj stolicy, otworzyć sobie drogę do Krakowa, do którego rzeczywiście udać się zamyslał.

Podstęp ten wojenny udał mu się najzupełniej. Stanąwszy na równi Opoczna, zwrócił się nagle, a postępując w kierunku teraz przeciwnym, wszedł na drogę wiodącą do Krakowa, gdzie stanął dnia czwartego.

Idąc manowcami lub na przełaj, zabierał wszędzie Moskalom magazyny. Stanąwszy zaś

pod murami Krakowa o świcie, zabrał tym nagłym napadem wszystkie placówki moskiewskie i małą załogę w mieście w niewolę.

Moskale widząc się tak oszukanymi, wracają co tchu na powrót w znacznej sile na Kraków. Nie czekał za nimi Puławski — zwrócił się znowu na drogę wiodącą do stolicy, aby oszukać czujność wroga. Przy tej sposobności zdołał zabrać magazyn w Piotrkowie rozniósł postrach na całą okolicę, a w końcu udał się pod Częstochowę. Zajmował ją na onczas Drewicz okrutnik i rabuś moskiewski. Dowiedziawszy się o zbliżaniu Puławskiego, którego się najwięcej lękał, zmyka spiesźnie z twierdzy, wydzierając zakonnikom 3000 dukatów.

Tutaj w Częstochowie rozłożył się Puławski i postanowił forteczkę tę obrać za swój główny punkt oparcia. Tutaj pozostawał po większej części aż do końca powstania, wytrzymał nie jedno oblężenie moskiewskie i nie jeden przy wycieczkach dotkliwy im cios zadał.

Był to rok 1770. Konfederacya uorganizowała się jako tako, otrzymawszy od Francyi pomoc w wielu oficerach i poparcie u wielkich i bogatych panów polskich. Puławski obwarowawszy się w Częstochowie, popierał całą siłą wycieczki Zaremby, Zyberga, Kossakowskiego,

Walewskiego i kilku innych wodzów co zbrali znaczniejsze siły koło Częstochowy i Krakowa i pragnęli nie już podjazdową, partyzancką toczyć wojnę, ale otwartą, wielkimi siły. Tymczasem niezgoda między wodzami i naczelnikami konfederacyi wszystko psuła. Puławskiemu żadne przeciwieństwo nie odbierało odwagi walczenia za ojczyznę. Dwa razy w Częstochowie był oblegany, raz od generała Łopuchina, drugi raz od Drewicza. Obaj nie osiągnęli innej korzyści, nad barbarzyńską uciechę, że mogli spalić kilka chałup i uprowadzić wszystkich włościan, co w ich popadli ręce, lub spustoszyć okolicę.

W r. 1771 Drewicz znowu obległ Częstochowę 3 stycznia, a mając pod rozkazami swemi 5000 do 6000 wojska, wziął się do tego z taką sprężystością, że można się było spodziewać pomyślnego skutku. Puławski bronił się z nieustraszoną odwagą i rozwijał we wszystkich działaniach swoich nieskończenie więcej zdolności wojskowych, niż Moskale w swych natarciach. Patrząc na zaciekłość obustronną, zdawałoby się, że los Polski zawisł wówczas od wzięcia téj forteczki.

Gdy to się dzieje kazał król pruski, który ciągle udawał, że Polaków jest przyjacielem, i odgrywał w téj chwili rolę pośrednika pomiędzy Moskwą a Polską, wydać Drewiczowi z ar-

senau wrocławskiego 22 dział i 12 moździer-
zów wielkiego kalibru. Otrzymawszy taką
pomoc, rozpoczął Drewicz bombardowanie, które
trwało nieprzerwanie dni kilka, lecz z małym
skutkiem, ponieważ Puławski kazał z przezor-
ności popalić wszystkie budynki, przypierające
do twierdzy. Miał przytem znaczne zapasy
prochu, bomb i kul, które w listopadzie ze-
szłego roku nadesłano mu z Warszawy; a ze-
brawszy w twierdzy ze 20 dział, tak ich dziel-
nie używał, że często przywodził nieprzyjacielskie
baterie do milczenia.

Lecz obleżonym zbywało na wielu innych
przedmiotach, szczególnie na odzieży, ponieważ
największa część konfederatów, którzy z Pu-
ławskim się połączyli, była prawie naga. Na-
kazywał przeto nieomal codziennie wycieczki,
którymi czasem sam dowodził, a których naj-
główniejszym celem było zaopatrzenie w odzież
tych żołnierzy. Jak mu się wiodło w téj mie-
rze, najlepszym to dowodem, że pod koniec
obleżenia większa połowa załogi chodziła w mun-
durach moskiewskich. Było to wielką pomocą,
gdyż zimno dochodziło wtenczas do 18 stopni,
a w pierwszych tygodniach obleżenia spieszyły
przy każdym napadzie Moskale setki konfede-
ratów w koszulach tylko na zagrożone miejsca,
gdzie bijąc się bez przestanku dwie lub trzy

godziny, nie opuszczali stanowiska, póki nie odparli wrogów.

Drewicz, któremu nakazano, aby koniecznie twierdzę zdobył i zburzył, choćby z największą stratą ludzi, nie szczędził usiłowań. Bombardowanie nie ustawało prawie nigdy, a od czasu do czasu nakazywał szturm, w którym większa część jego wojska brała udział.

Lecz chociaż szturmy przypuszczano do najslabszych punktów, nie odnosili z nich Moskale innéj korzyści nad znaczne straty w ludziach. Rozdrażniony oporem, którego się nigdy nie spodziewał, nakazał Drewicz szturm powszechny.

Już przystawiają Moskale drabiny, włączają na nie z odwagą, i sądzą się panami twierdzy, ale Puławski przebiega z miejsca na miejsce, jest prawie wszędzie przytomny, a dzielni żołnierze jego, ośmieleni przykładem wodza, bronią swych stanowisk z taką walecznością, że przeciwnicy jego muszą zaniechać przedsięwzięciu, o którego powodzeniu nie wątpili i cofnąć się musieli, zostawiwszy 200 ludzi.

Z drugiej znów strony napadały rozmaite oddziały konfederatów, kryjące się w okolicy, z nienacka a szczególnie nocami obóz Drewicza, szerzyły w nim popłoch, zabierały jeńców i część żywności lub amunicji.

Tak zmarnowali Moskale sześć a nawet

więcej tygodni pod murami twierdzy, którąby dziś zdobyli w 24 godzinach. Widząc w końcu bezskuteczność wszelkich usiłowań, kazał Repnin wrócić Drewiczowi do Warszawy, gdzie oddział jego a szczególnie artylerya była potrzebna.

W jakiś czas potem dowiaduje się Puławski, że Moskale zbierają się w okolicy Kochanowa, i że w samém tém mieście pozakładali magazyny. Wyruszył natychmiast na czele 2000 ludzi w nadziei, że mu się uda zabrać te składy i rozpedzić strzegące je oddziały. Suwarow pospieszył w 4000 żołnierza zanim w pogoń i dognał go o kilka mil od miejsca tego, a stoczywszy z nim bitwę, zabrał mu artylerya. Lecz Puławski wraca zaraz do ataku, zwycięża Suwarowa, ubija mu 400 do 500 ludzi, odbiera swe działa a w dodatku dwa inne, odpiera go o ćwierć mili i idzie potem dalej. Moskal ochłonawszy z przestachu, spieszy za nim, lecz w nowych spotkaniach, do których znów przyszło, było zawsze zwycięstwo po stronie konfederatów. W końcu przybywa Suwarowi w posiłku 1000 kozaków, ale teraz wołał doświadczyć podstępu, do którego każdy Moskal nawykł już z natury, niż narażać swoje wojsko na bitwę otwartą.

Przekupiony jakiś obywatel z okolicy, naprowadził fałszywém doniesieniem Puławskiego

w zasadzki moskiewskie, lecz i to nie przyniosło korzyści. Polacy bowiem opłacili swą ławowierność stratą kilku tylko ludzi, a ubili Moskalom przeszło sto, zabrali im jeszcze dwa działa i wyszli zwycięzko po dwugodzinnéj bitwie z zastawionych sideł. Puławski rozwinął w téj bitwie całą swą dzielność.

Postanowił wrócić do Częstochowy, i oddziału niepotrzebnie nie narażać na największe niebezpieczeństwa. Odwrotowi swemu nadawał rozmaity kierunek, aby wprowadzić w błąd nieprzyjaciela, który szedł za nim nieustannie. Mimo tego nie tracił go z oczu Suwarów i niepokoił przez całą drogę. Zabierając po drodze wszystkie z sobą oddziały, które mu się nawinęły, naciskał go razem i z boków i z tyłu i nie dawał mu nawet chwili wytchnienia.

Wśród takich trudności odbył Puławski w 17 dniach 50 mil drogi i nie dał się nigdzie obkoczyć. Wrócił do Częstochowy z 300 jeńcami i 5 działami, które zabrał wrogom w pięciu bitwach i w dwudziestu przeszło potyczkach, w których zawsze był górą. Sam Suwarow wychwalał z uwielbieniem ten odwrót jego, uważając go za arcydzieło sztuki wojennéj. Dwa razy jeszcze próbowali Suwarów i Łopuchin, czyli im się nie uda, wydrzeć Częstochowę nagłym napadem; lecz podstęp tyle przyniósł korzyści, co otwarta siła, a Puławski utrzymał

się w posiadaniu twierdzy aż do końca wojny.

Od samego zawiązku konfederacya nigdy tak silną nie była jak w r. 1771. Liczne komendy Zaremby, Sawy, Zakrzewskiego, Mazowieckiego i wiele innych pomniejszych ugaśniały się z nieprzyjacielem po województwach poznańskim, gnieźnieńskim, kaliskiem, sieradzkim, kujawskim, łęczyckim, płockim i podlaskim; Kossakowski posuwał się w Litwie — również prócz miasta Krakowa całe prawie księstwo zatorskie, oświęcimskie, jako téż województwa lubelskie, ruskie, sandomierskie, krakowskie z Wieliczką i Częstochową były w posiadaniu konfederacyi. Formowano zaciągi piechoty, ćwiczone je w obrotach, przepisano regulamin dla wojsk konfederackich i inne urządzenia. Ale cóż kiedy wszystkie te ulepszenia spełzły na niczém. Bo naczelnicy konfederacyi, siedzący za granicą i kierujący całą konfederacją, nie mogli dopilnować wszystkiego. Zagasła wnet gwiazda nadziei. — Mocarstwa ościennie już się zmawiały nad rozbiorem Polski, a konfederacya otrzymała zręcznego wroga w Suwarowie, który ze zdolnościami wojskowemi łączył baczność i przezorność, niezmordowaną czynność i śmiałość. Suwarów stał się téż pogromcą konfederacyi. Cały ten rok ustawiczne jeszcze toczono walki. Najszczęśliwiej zawsze Kazimierz Puławski. Inni wodzo-

wie powoli znikali. Chcąc poprzeć usiłowania narodowe przeciwko najeźdcom rzucili się konfederaci do śmiałego przedsięwzięcia, porwać króla i postawić go na czele wojsk konfederackich. Ale sprawa ta nie udała się.

W następnym roku nie zaprzestano dalszej walki, chociaż już Prusy i Austria podług umówionego układu pozajmowali różne części Polski.

Moskale jednak coraz większą zyskiwali przewagę nad niezgodnymi wodzami konfederatów, Puławski nieomal ostatni został na placu boju — Częstochowa wytrzymała nowe straszne oblężenie ośmnastodniowe, wśród którego 400 bomb rzucono do fortecy. Puławski z garstką swoich odparł z wielką stratą Rosyan, dał ostatnie na ziemi ojczystej dowody swjej waleczności i niczem niezłomnej miłości ojczyzny. Pożerała go atoli myśl, że wszelkie jego i załogi poświęcenia nie odkupią nieszczęśliwej Polski. Los Częstochowy zanadto był widoczny; chciał przeto i miejsce poświęcone od ruiny i walecznych towarzyszków swoich ochronić od bezkorzystnego krwi rozlewu. Trzeba było kapitulować, ale ponieważ sam o zamach na króla posądzony i na śmierć wskazany, nie mógł z honorem tego uczynić, postanowił wydaląć się z fortecy. Czterystu najodważniejszych i najgorliwszych towarzyszy polecił wy-

prawić potajemnie do domów, aby ich nie narazić na srogą niewolę moskiewską. O poddanie nie z Moskalami, ale z królem układać się kazał. Gdy nadszedł dzień na odjazd przeznaczony, przywołał dwóch oficerów i zostawiwszy im list pożegnalny dla wszystkich walecznych towarzyszy broni, odjechał z jednym adjutantem i dwoma służącymi. List był następujący treści: „Dla publicznego dobra wziąłem się do oręża, dla niego złożyć go powinienem. Związek tylu potężnych mocarstw pozbawia nas wszelkich środków obrony, a ja wplątany w sprawę, mogącą złać i na was część mojego nieszczęścia, widzę się niezdolnym zawarcia kapitulacyi. Znam waszą gorliwość, wasze meztwo i pewny jestem, że gdy przyjdzie szczęśliwsza pora służenia ojczyźnie, takimi okażecie się, jakimi byliście wraz zemną.“

Opuścił ten wielki bohater ziemię rodzinną, na której w tysiącu niebezpieczeństwach ochronił go Bóg od śmierci, aby na obcej polach ziemi w walce za obcą wolność.

Gdy się wojna z Turcyą odnowiła, Puławski udał się z kilkudziesięcią konfederatami do armii tureckiej. Lecz gdy się armia ta w r. 1774 rozbiegła, i w rozpasaniu wielu swoich i Polaków pomordowała, Puławski ledwo z życiem uciekł. Wyjechał do Ameryki

gdzie napolu bitwy pod Savahna zginął śmiercią walecznych dnia 9 października 1779 r.

Wszyscy, którzy tylko pisali o konfederacyi zgadzają się w pochwałach młodego bochatera. Przyznają mu nietylko znakomite zdolności wojskowe i szaloną odwagę osobistą, ale także nieograniczoną miłość ojczyzny, charakter prawy i czysty. Jest to postać prawdziwie rycerska. Zamożny i mogący używać rozkoszy tego świata przypasuje szablę, siada na koń i wyrusza w pole. Zbiera hufiec, uderza jak grom na Moskali i rozbija liczne szeregi. Pokonany znika, kryje się w najtajniejszych kryjówkach, a po jakimś czasie widzimy go znowu na czele zwyciężkich hufców. I tak trwało przez lat pięć — w nieustanną walce, w najokropniejszych trudach, w najstraszniejszych niebezpieczeństwach. A jednak ani na chwilę nie ustał w walce tak zaszczytną, pomimo niepowodzeń, obelg nie jednokrotnie mianych i rozlicznych upokorzeń.

Był on postaci niskiej, szczupły, mowy i chodu prędkiego. W potyczkach zapominał o wszystkiem i sam się najpierw na największe niebezpieczeństwo narażał. Był wielce wstrzemięźliwy, zabawą jego najmilszą w czasie od nieprzyjaciela wolnym było, ćwiczyć się w strzelaniu z ręcznej broni, pasować się z kim tęgim, lub na koniu różnych sztuk dokazy-

wać. To téż nigdy żaden wojskowy nie posiadał większej zręczności w robieniu wszelkiego gatunku bronią. Otaczała go powiększej części doborowa i na wszystko zdeterminowana młodzież, którą on zaprawiał na dzielnych i tęgich żołnierzy. Nie było w tym gronie ani jednego, któryby się nie odznaczył czynami szczególnéj odwagi. Jeden znany był z tego, że zabił własną ręką więcej niż sto Moskali. Drugi przelatując galopem przed frontem nieprzyjacielskiego wojska, wytrzymuje ogień całego oddziału i przypadając do dowódcy wystrzałem z pistoletu trupem go kładzie. Trzeci w największym pędzie konia jedném cięciem szabli zmiatał głowy moskiewskich sztyldwachów, stojących w bramach obsadzonego nieprzyjacielem miasta. Nie dziw, że na czele takich ludzi, cudów waleczności dokazywał. Wszyscy służyli mu z zapalem, jedni przesadzali się nad drugimi, by dzielić z nim wszystkie niebezpieczeństwa.

Jeden z najdzielniejszych i najczynniejszych obrońców praw i swobód ojczystych, pierwszy stanął mężnie do walki i ostatni broń złożył, nie splamiwszy się nigdy żadnym haniebnym czynem. W jego sercu żadna inna nie panowała namiętność, ani żądza wywyższenia, sławy, lecz tylko czysta nieskalana miłość ojczyzny — jedna żądza, wypędzenia Moskali

i oswobodzenia ojczyzny. Chociaż go bolały i oburzały różne obelgi, pokątne intrygi przeciwko niemu wymierzone od naczelników i kierowników konfederacyi, umiał poświęcać uczucie osobiste dla dobra powszechnego. Dla tego też pamięć tak szlachetnego, bohaterskiego wojownika za wolność narodu, nigdy zagać nie powinna!

IX. Antoni Morawski.

Dzielnym również konfederatem, postrachem dla Moskwy, i wielu wojennemi wsławionym czynami był Antoni Morawski. Uganiał się z Moskalami w naszych okolicach, dawniej Wielkopolsce. Był on synem szlachcica uboższego, który, ożeniwszy się z wdową rzeźniczką w mieście Gnieźnie, przyjął miejskie prawo i był rzeźnikiem, a ten syn jego, o którym będę pisał rzeźniczką, ożenił się w Gnieźnie także z panią miejską i był w początkach rewolucyi młodszym w cechu.

Gdy jednego razu burmistrz Gryzyngier coś mu przykrego rozkazywał, a nie posłusznemu trzcina do głowy przymierzył, Mora-

wski, odbiwszy trzecinę, wyciął Gryzyngierowi policzek i natychmiast uszedł z Gniezna. Po téj robocie, nie śmiejąc wrócić się do miasta, gdzieby go należyta chłosta za popełnioną zuchwałość nie minęła, udał się do konfederacyi, dobrał do siebie kilkunastu ludzi odważnych, z którymi podchodząc nocami pikiety rosyjskie i sprzątając kozaków na pikietach stojących, a ich trzosami obławiając siebie i towarzyszków swoich, wkrótce zwabił do siebie kilkadziesiąt koni, z którymi najeżdżał sprawnie obozy rosyjskie, a narobiwszy w nich trwogi i zamieszkania, uchodził w bory, przenosząc się tam i sam z miejsca na miejsce; a że w tych początkach obchodził się grzecznie z obywatelami, przeto taili go, ile mogli, przed nieprzyjacielem i dodawali mu wszelkich potrzeb.

Tak na swoją rękę wojował blisko roku, nie łącząc się z żadną dywizją konfederacką i nie mając żadnej rangi wojskowej.

Długo nawet Rosyanie nie wiedzieli, co jest za jeden ten, który im takie psoty wyrządza, aż sława, która tak złego jak dobrego milczeć nie umie, rozgłosiła jego imię i doniosła Malczewskiemu, naczelnikowi konfederacyi wielkopolskiej, który, dosłyszawszy o tak dzielnych czynach jego, dał mu patent na porucznikostwo w swoim pułku, ordynans na werbunek i na wybieranie podatków. Był to

regularny formularz Malczewskiego dla wszystkich, którzy się do konfederacji wiązali, nad którymi tym sposobem czynił się głową; lecz gdy Morawski, po odebranych patencie na porucznikostwo, nie zabierał się ku Malczewskiemu, tylko chodził bokiem, przysłał mu Malczewski drugi patent, czyniący go rotmistrzem z rozkazem, aby się z swoją rotą stawiał do obozu jeneralnego.

Malczewski wtenczas po potyczce pod Częstochową, zebrawszy dywizye rozproszone, włączył się znowu obyczajem swoim po Wielkiej Polsce, kiedy do niego do Inowrocławia przyciągnął Morawski z swoją rotą, 90 koni zawierającą. Komendy różne zgromadzone pod Malczewskim, wynosiły do dwóch tysięcy, które były rozlokowane do koła Inowrocławia, w którym stanął Malczewski. Ledwie co się rozłożyły dywizye, aliści Rosyanie w znacznej także liczbie piechoty i konnicy, uderzyli na stojących konfederatów w Pakości. Znieśli ich, położywszy trupem ze 200 i wielu w niewolę zabrawszy. A że się ta sprawa zaczęła po południu około godziny drugiej, przeto gdy się skończyła, już noc zapadła, dla tego Rosyanie nie gonili dalej konfederatów, jak o kilkoro staj za Pakość, w której nocowali. Stało się o w kwietnią niedzielę.

Malczewski usłyszawszy o porażce swoich,

z innemi dywizyami, które nie były w bitwie (w której nie był i Morawski, z innéj strony mający obóz) poszedł z Inowrocławia za Montwy, błota tak nazwane o pół mili od Inowrocławia, sławne klęską Jana Kazimierza, zadaną przez buntownika Lubomirskiego, marszałka wielkiego koronnego. To przecie dobrze zrobił Malczewski, że mostu za sobą zaraz zrzucić nie kazał; gdyż inaczej byłoby się wojsko, ciągnące za nim w nocy niewiadome brodu potopiło. Lecz postawił nad mostem z dwie dywizye z rozkazem, aby póty tego mostu strzegły, póki się wszystkie rot-y i kawalki konfederackiego korpusu zbitego pod Pakością nie przeprawia; po przeprawieniu których, aby był zupełnie zburzony.

Ciągnęli się tedy przez ów most konfederaci różnemi partyami przez całą noc, aż do białego dnia, Rosyane zaś nocowali w Pakości.

Nazajutrz Rosyane z Pakości ruszyli za Malczewskim, komendę nad Rosyanami miał Appraxyn, pod nim był Drewicz i inni oficerowie rosyjscy i dwie chorągwie ułanów królewskich. A lubo już mostu nie zastali, bo był według ordynansu Malczewskiego zrzucony, przeszli jednak przez brodek, wedle mostku będący z piechotą i armatą. Malczewski zaś niewiadomy brodu, a przeto zadufany, że się Rosyane za nim bez mostu nie przeprawia,

przenocowawszy w Markowicach milę od mostu odległych, stanął na południe w Strzelnie miasteczku.

Ledwie co tam stanął, przybył jakiś szlachcic na koniu w opończy, dając znać Malczewskiemu, że się Rosyanie pod Montwami przeprawiają. Spojrzał Malczewski surowo i z miną pomięszaną na oficera, któremu dozór zepsucia mostu polecił: A jak to W Pan ordynans wypełnił? Oficer odpowiedział: Wypełniłem doskonale, wolno mię wziąć w areszt, a posłać tymczasem kogo do obaczenia, że most zrzucony.

Towarzysz jeden na ten dyskurs odezwał się do Malczewskiego: Prawda, jaśnie wielmożny marszałku, że most zrzucony; bo nas jedenastu nie zastawszy już mostu, przeprawiliśmy się około niego w bród, który nie był głębszy, jak pod brzuch koniom. Zukowski, podwojewodzie kaliski, od kilku niedziel przed tém zdarzeniem w konfederacyi zjawiony, nakształt doradcy przy Malczewskim wieszający się, który także przeprawę za Montwy doradził, odezwał się na mowę towarzysza: To pewnie jmcie pan brat (pokazując na owego szlachcica znającego o Rosyanach dającego), widział waćpanów przeprawiających się, i rozumiał, że to Rosyanie, którzy tym brodem z piechotą i armatą nigdy przeprawić się nie mogą. Szla-

chcieć zapewne z daleka obaczywszy początek przepraw rosyjskiej i z tém co spostrzegł, co tchu pobiegłszy do Malczewskiego, odurzony wnioskiem Żukowskiego, wpadł w wątpliwość o swoim widzeniu i zamilkł, nie śmiejąc potwierdzać za prawdę tego, co widział. A Malczewski nie używszy ani tyle roztropności, żeby był kogo wyprawił na dotarczkę ku Montwom, uwierzył zupełnie Żukowskiemu; zjadł obiad spokojnie w Strzelnie i pociągnął na noc do Wilczyna, które miasteczko opasawszy do koła dywizjami, sam z konsyliarzami swemi i sztabem rozstaszował się we dworze, jakby w największym bezpieczeństwie.

Rosyanie wysuszywszy się po brodzie pod Montwami, przyciągnęli rano w wielki wtorek pod Wilczyn. Szczęściem, że Morawskiemu dostało się stanowisko od ich przyjaciół, którzy na sobie Rosyan z godzinę zatrzymał; gdy tymczasem Malczewski z swoją rotą i radcami i owym panem Żukowskim mogli dosieść koni i wyszedłszy na drugą stronę Wilczyna, udać się w bory; ztamtąd o trzy mile nocleg sobie wygodny założywszy. Toż uczyniły i drugie komendy, pierzchnawszy zaraz na bok za przybyciem Rosyan.

Morawski także po danym jakim takim odporze pierwszym strażom nieprzyjaciela, gdy

się większa siła jego zwała, uszedł w bory, mając pod sobą konia postrzelonego.

Z pięćset koni konfederatów z pułku Sieraszewskiego i Skórzewskiego, tudzież Grabowskiego, odważniejszych, wyciągnawszy na drugą stronę Wilczyna, w pole bardzo lgnące, poczęli się uganiać z kozakami, sięgając się z karabinów i pistoletów; ale postrzegłszy, że im z drugiego skrzydła zachodzi ciężka dragonia i ulany królewskie, pierzchnęli raptem w bór blizki bardzo gęsty. Tam zatchnąwszy się w jedną drożynę wąską, nie mogli się ani odstrzeliwać, ani odcinać, ani żadnego obrotu czynić. Musieli zatem wciąż uciekać i ginąć albo z koni padających przez wywroty, ratować się w gęstwinę. Półtóry mili takim gąszczem uciekając, nie dorachowało się z całej kwoty jak czterdziestu, którzy, wypłatawszy się z owój gęstwiny za jeden rów, mostek i karczmiśko puste, trochę się zatrzymali. Rosyanie też, nie mogąc w owój gęstwinie rozszerzyć się w linię, będąc wstrzymani ogniem ręcznym od owych czterdziestu, dalej ich nie ścigali.

Zginęło w téj rozprawie konfederatów zabitych, ranionych i połapanych do pięciu set; którzy uszli rąk rosyjskich pościgali się do Konina, potem trzeciego dnia do Malczewskiego do Turka, miasteczka arcybiskupiego.

Tam Malczewski odebrawszy od rotmi-

strzów przysięgę wierności, jako konfederacyi do ostatniego tchu nie odstąpią, i jako się za ordynansem do jego komendy stawia, rozpuścił dywizye. Sam się zaś schronił do Szląska do Stramburga, gdyż wtenczas jeszcze król pruski obojętném okiem na konfederatów poglądał. Pułkownicy i rotmistrze, idąc za przykładem swego wodza, komendy swoje z podobnym obowiązkiem, jak sami przyjęli od Malczewskiego, porozpuszczali.

Tak konfederacya wielkopolska blisko półtoraroczném uchodzeniem przed Rosyą znużona, pierwszego bez kapitulacyi dostała zawieszenia broni. Rosyanie nie mając kogo gonić, poszli do Kalisza, zkąd w kilka dni przenieśli się do Poznania. Ów zaś Żukowski, zważając szemranie przeciw sobie powszechne konfederatów, poczytujących go za zdrajcę, a ztąd obawiając się, aby życiem nie przypłacił tego podejrzenia, bądź sprawiedliwego, bądź niesłusznego, wyniósł się także do Szląska do Głogowy, gdzie mieszkał przez cały czas trwającej konfederacyi.

Morawski i Kropocki, rotmistrze, nie rozpuścili swoich dywizyi, chodzili kilka dni w kupie, potem się rozłączyli, nie chcąc jeden drugiemu podlegać. Kropocki nic godnego wzmianki nie dokazał.

Morawski zaś chodził około Gniezna i czę-

sto przebywał w samym Gnieźnie; na niego Rosyane wszystkę baczność swoją obrócili. Nie miał on wtenczas więcéj nad 90 ludzi, z którymi oganiał się Rosyanom i napastował ich, czasem i dwa razy na dzień; dopiero atakowany, dawszy żwawe obroty i uszedłszy zręcznie, jużci znowu z drugieój strony napadł na nich, ubił kilku lub kilkunastu i narobiwszy hałasu, znowu obronną ręką uszedł w bory.

Gdy Rosyane nie mogli pojąć języka, gdzie się Morawski schronił, poszukawszy go tu i owdzie, wracali się do Poznania; Morawski zaś do Gniezna. Dowiedziawszy się o nim, schodzili na niego tak spieszo, że, wyszedłszy z Poznania o godzinie drugieój po północy, stawali w Gnieźnie (sześć mil drogi miejsce od miejsca) z piechotą i armatą na godzinę jedenastą przed południem. Nie wchodzili do Gniezna jednym traktem, ale wszystkimi ulicami i ścieżkami, i gdy tak już opanowali wszystkie szlaki, Morawski za pierwszém wystrzeleniem na pikiecie, wypadł do nich obcesowo czasem tylko w kilka koni, biegając tu i owdzie pomiędzy Rosyan, gdy tymczasem jego ludzie zbiegali się jak mogli do kupy, to przez ogrody, to przez fórtki tylne różnych domów; tak iż Rosyane, w każdym kącie widząc snujących się i ucierających z nimi konfederatów, sami także musieli się mieszać i bie-

gać bez porządku, bez ładu, jedni naprzeciw drugim, dając tym sposobem Morawskiemu łatwość zebrania swojej garstki i przerznięcia się z niemi którąkolwiek łatwiejszą stroną. Żołnierze rosyjscy tak się go bali, że gdy krzyknął na nich i natarł z impetem, zamiast zastępowania mu, uciekali do domostw, co mu ułatwiało przejście.

Raz zeszli go jedzącego obiad u Murzynowskiego, oficyna gnieźnieńskiego, gdzie był tylko sam jeden pieszo, nie mając tylko pistolety na tasaku i szablę przy boku. Usłyszawszy wrzawę i strzelanie na ulicach, wypadł co prędzej z kuryi, do której dobiegał kozak. Strzelił do niego, zwałił go z konia, a dosiadłszy sam chyżo tegoż konia, poszedł na przebój z szablą w rękę, aż się złączył ze swoimi, uganiającymi się z Rosyanami po ulicach. Takie potyczki służyły mu zawsze z pożytkiem, z małą, albo czasem z żadną stratą swoich, a szkodą nieprzyjaciela; w mieście pełnem zakrętów, pagórków i dolin, jemu, jako rodakowi tamtejszemu, dobrze świadomych, nieprzyjacielowi zaś obawę zasadzek sprawujących, który przeto trzymał się główniejszą siłą swoją tylko większych ulic. Morawski tedy, pobiegawszy takim sposobem między ogniem rosyjskim, dachy, okna i ściany budynków najwięcej rażącym, wysworował się z swoimi w pole,

i dalej w bór najbliższy, a za nim Rosyanie, znużeni marszem i owém harcowaniem, słabo i krótko gonili

Jednego razu, po dziennéj takiej utarczce, przyszedł do miasta w nocy z sześciu innymi, podszedł cichaczem szyldwacha, drzymiącego przy armacie, na karabinie rękami wspartego; rozplatał mu szablą głowę, a armatę porwawszy z drugimi swymi, wprowadził do pustej piwnicy, i to zrobiwszy, wyszedł z miasta tedy, którędy przyszedł. Ledwo co był za miastem, kiedy usłyszał alarm i wrzawę wielką, którą uczynili Rosyanie, spostrzegłszy podczas ablużu zabitego szyldwacha i armatę wziętą; dopiero się domyślili, kto im tę sztukę zrobił, gdy armatę znaleźli, a nikogo obcego w mieście nie wyszlakowali. Ta i tym podobne sztuki wyrządzone Rosyanom, haniebnie wstydziły i gniewały ich. Dla tego wszelkich śpiegów, i płatnych i przymuszanych używali, aby go gdzie obskoczyć i złapać mogli.

Otoż ledwo im raz nie wpadł w ręce. Popasem stanął w opactwie łędzkiem z dywizją swoją u Hłowieckiego opata. Było to opactwo cystersów, później klasztor kapucyński, które z klasztorem opasane w pół kręgu murem o jednéj bramie, podpływa rzeka Warta, wzdłuż dziedzińca brzegi przykre rokowiną zarosłe i błotniste mająca. Moskale zaś pod ko-

mendą samego generała Apraxyna w liczbie 300 koni dragonów i kozaków na szczęście podjazdujący, stanęli w Słupcy, mieście biskupa poznańskiego, półtóry mili od Łędu odległym, niewiedząc, że tak niedaleko nich jest ten, którego szukają.

Lecz skoro im dał znać o nim jeden młynarz, który widział, kiedy Morawski stanął w Łędzie, natychmiast pędem przypadli do Łędu. Morawski nie miał inną drogi do ucieczki, tylko prosto w bramę, w której już byli Moskale, nim on zdążył dosieść konia; usłyszawszy tedy wystrzał na pikiecie, uderzył prosto w bramę z pistoletem i szablą w rękę i przerznął się szczęśliwie przez dragonów w bramę wpadających. Ludzie jego będąc roztaszowani, którzy nie mogli dopaść koni, po uciekali pieszo i pokryli się, gdzie który mógł, po ogrodach; zkąd po wybieżeniu Rosyan z opactwa za Morawskim, pouchodzili w swoje strony; kilku atoli z nich złapano. Morawski wydobywszy się z ciaśniny na przestwor, musiał wciąż uciekać, nie mając ze sobą tylko kilkunastu swoich, a zatém nie będąc w stanie czynić jakich odwrotów w czystym polu, w którym łatwoby mógł być obkoczony, złapany lub zabity.

Apraxyn z dragonią wrócił się do Łędu, skoro się mu z rąk Morawski wyslizgnął, ka-

zawszy go ścigać kozakom; pod Wierzbmem, wioską o milę od Lędu, padł koń pod nim, z którego szybko skoczywszy, uciekał pieszo przez płot, mając na sobie tylko karabinek i szablę przy boku. W tym momencie został pchnięty spisą od kozaka w wierzchnią wargę, z której ciekąca krew po gębie, po brodzie i po szyi, wydawała kozakowi, jakoby ugodził w gardło Morawskiego; drugi kozak w tym samym punkcie czasu, zaczepionemu o płot za szarawary, (dla tego ich odtąd nigdy nie nosił) zerwał spisą czapkę z głowy. Morawski zaś, wypłatawszy się z płota, uszedł na błota, konnym niedostępne, i wypaliwszy z karabina, ubił z tych dwóch, którzy go dojeżdżali jednego; kozak drugi pozostały, przyniósł do Lędu czapkę Morawskiego, i przyprowadził konia jego w błocie zwalanego. Apraxyn zaczął poznawać złapanym konfederatom: czyje to rzeczy były; odpowiedzieli oni: Morawskiego; pytał się kozaka, jak tego dostał? odpowiedział kozak: ja go ubił do śmierci. Pochwalił się w mniemaniu, że Morawski pchnięty w gardło, jak się kozakowi zdawało, żyć nie będzie.

Uradowany wielce Apraxyn tém zdarzeniem, pospieszył czémprędzej do Poznania, zkad natychmiast z ową czapką wyprawił sztafetę do Warszawy z doniesieniem, że Morawski

zginął. Radość wielka w Warszawie; książe Wolkoński, ambasador i komendant jeneralny rosyjski, dał wielkie pochwały Apraxymowi, ale większą jeszcze nagane, gdy Morawski we dwie niedziele po owój potyczce łędzkiej, wybrał kontrybucyą w Swarzędzu od dysydentów i pokazał się na górach między tymże miastem a Poznaniem, milę drogi od siebie odległemi, w kilkadziesiąt koni. I nim się za nim Rosyanie wyprawili z Poznania, poszedł w bory ku Suchemu Lasowi, także mila drogi od Poznania. Kozak, który się pochwalił ubiciem Morawskiego, dostał od Apraxyna sześćset batózków.

Okoliczność wiążących się coraz więcej konfederacyi w małej Polsce, czyli téż potrzeba posiłkowania armii osłabionój wojną turecką, przymusiła Rosyan, że opuściwszy gonitwy niepożyteczne z Morawskim, wyciągnęli z Poznania i z całej Wielkopolski, nie zostawiwszy tylko jedną komendę z kilku set ludzi złożoną, po większej części z dysydentów zwербowanych, niż z rodowitych Rosyan, w prowincyi pruskiej w Toruniu.

Malczewski zatém widząc bezpieczeństwo otworzone, wyszedł z swojej kryjówki z Stramburga udawać dalej wojownika. Pozwolywał pułkowników i rotmistrzów, a ci znowu swoje rozpuszczone rotę; nakazał nowe wyprawy

i podatki, opanował komory solne i celne, grabiąc zewsząd pieniądze na potrzeby wojenne i swojej rozrzutności. Książętom Sułkowskim, Augustowi i Antoniemu, pod pozorem jedności z konfederacją spiski knującym, posławszy do Leszna pułkownika Skórzewskiego z trzema dywizjami, nie takiego tak prędko niespodziewającym się, zabrał 200 piechoty gotowej, dobrze umundurowanej i w broń opatrzonej, wtenczas właśnie, gdy ją książę Antoni w ogrodzie ćwiczył i jego samego z kilką szlachty przy nim będącej, którzy wszyscy takiem nagłym przydybaniem zmieszani, pokazali zmyśloną ochotęłączenia się z konfederacją pod dowództwem Malczewskiego. Lecz wkrótce pokazali swego ducha, kiedy po kilku dniach pouciekali z Poznania, jedni do Warszawy, drudzy do domów swoich.

Do téj piechoty Sułkowskim zabranéj przywerbował więcéj, wszystkich do 600 ludzi. Nazbierał od różnych panów kilkanaście sztuk armat, zgoła w krótkim czasie wystawił znowu konfederacją do czterech przeszło tysięcy mocną.

Wtenczas to skleila się izba konsyliarska założona w Poznaniu z obywatelów osiadłych, którzy do urzędów wojskowych, trudów i niebezpieczeństw pełnych, i władzy jednego podległych, czując wstręt w umyśle swoim delika-

tnym, wymyślili sposób wygodniejszy przez rady służenia dobru publicznemu, i dochodami jego dzielenia się z Malczewskim. Jakoż ta izba nie miała inszego zatrudnienia, tylko szperanie w dochodach konfederackich, zgarnianie, ile ich mogli zgarnąć i zachwycić do kasy swojej; z téj najpierwój wypłacać sobie płace miesięczne, stoły publiczne i inne wygody obmyślać, a dopiero wojskowym należytość, gotowizną lub asygnatami wypłacać; zgola z dochodów płynących zewsząd do Malczewskiego, ile możliwości na swoją stronę odciągać. Drugie zatrudnienie, patenta na wakujące rangi wojskowe, i uniwersały na podatki wydawać, na ostatku rachunki od szafarzów skarbu publicznego, jak i kiedy składać je łaska była, odbierać.

Morawskiego jako zasłużonego, i w saméj rzeczy jedyne go żołnierza czynnego w czasie obumarłej konfederacyi, o której było wyżej, uczyniono pułkownikiem, przydano mu dwie dywizye gotowe, i pozwolono więcéj werbować podług jego woli. Nie miał jednak nigdy więcéj nad 500 ludzi, których często przestrajał. Raz formował uzarów, tych przebrał na dragonią; to znowu pocztowych na kozaków pewną liczbę w mundurach czerwonych, takich, jakie mieli kozacy rosyjscy pułkownika natenczas Drewicza. Te odmiany robił w swojej

dywizyi. Inni rotmistrze jego mieli w dywizjach swoich towarzystwo i pocztów. Na ostatku zaczął zbierać do jazdy piechotę, ale ta nie długo trwała.

Po szczęśliwój potyczce z Moskalami pod Radominem pułk Morawskiego niedługo niszczał zupełnie. Sam Morawski z jedną swoją dywizją, mającąc tu i owdzie, w Kościanie, mieście przydybany od Rosyan, zwiodł z niemi potyczkę w samém mieście, ale nieszczęśliwą, gdy bowiem w jednéj bramie od Poznania stawiał się im tego, broniąc przystępu, Moskale przeprowadzeni brodem przez rzeczkę od chłopą, oblewającą Kościan, uderzyli na niego z tyłu, gdzie połowę ludzi stracił i ojca starca, który się przy synu wieszał; sam z drugą połową przerznął się przez nieprzyjaciela.

W kilka dni po téj potyczce, udał się ku Poznaniowi (chcąc, jak miał zwyczaj z początku) napaść w nocy na pikiety rosyjskie i narobić trwogi stojącym w mieście. W tym marszu pod Łęczycą, wsią milę drogi od Poznania odległą, napadł dziada, wyprawionego od Rosyan na szukanie jego samego. Zapytany dziad: zkąd i po co? zaraz się przyznał, że jest wysłany z Poznania od Renną, pułkownika, szukać Morawskiego. — Morawski gorzałką zmroczony, odpowiedział: ja jestem Morawski, wróć się do Poznania i powiedz tym panom, że ich

tu czekam w karczmie, Jakoż dotrzymał słowa; albowiem zmorzony snem, stanął w karczmie, kazał ludziom trzymać konie w rękę, sam zaś odpasawszy szablę od boku, i kazawszy ją dużo poszczerbioną z rozprawy kościańskiej wytoczyć chłopom na toczydle u kowala blisko karczmy będącego, porzucił się na łożku karczmarśkim. Dziad ow podług rozkazu Morawskiego pobiegł czém prędzej do Poznania. Rosyane natychmiast w 300 koni wybiegli do Łęczycy. Otoczyli do koła karczmę a nie słysząc nikogo, tylko konie parskające, zsiadłszy z koni, wleźli do stajni; tam uderzywszy na pierwszych wrot bliższych kilku z nich zabili; na huk strzelby i rozruch ocuceni wszyscy przy ciemnej nocy i deszczu lejącym, jedni pieszo, drudzy konno, jak który mógł na przebój lub cichaczem pouciekali. Morawski w izbie od stajni zwyczajem wielkopolskim odległej, tak twardo zasnął, że nie słyszał ani hałasu, ani strzelania; ledwo się ocucił zwleczony z łożka od karczmarki, rozmarzony snem wypadł na dwór, począł wołać na masztelarza swego i chłopca: hej konia, konia, szabli; na ten odgłos odezwał się jeden kozak: A ktoś ty? Morawski znowu: ja pułkownik. Sam, sam, tu koń, siadaj co prędzej. Nie roztrzeźwiony dobrze nie poznał głosu, miasto schronienia się gdzie w bok przy ciemnej nocy, skoczył tam,

zkał głos slyszal i wpał w ręce kozakom, którzy go natychmiast porwali, na konia wsadzili, nogi mu podwiązali i niedbając o innych jego ludzi, ciemnością nocy zasłoniętych, co tehu z nim do Poznania pędzili. Takim sposobem Morawski dostał się w niewolę. Wzięli z nim i chłopca, który nie chcąc pana w nie-szczęściu odstąpić, sam się dobrowolnie kozakom nawinał.

Z wielką radością Rosyane krzycząc przez ulice, że prowadzą Mórawkę (tak go bowiem nazywali), stawili go przed pułkownikiem Rennem. Tengo zapytał: tyto jesteś Morawka zbójnik? Mórawski nadrabiając fantazya, w takim razie niewczesną, odpowiedział, ja jestem; wacpan jesteś pułkownik i ja pułkownik, za któremi słowami, wyciął mu Renn dwa policzki z obelżywemi słowami, kazał go przy sobie okuć w kajdany i zaprowadzić do kordygardy. Nazajutrz, gdy się zwiedzieli polscy panowie, że Morawski jest złapany, przyszli do Renna z powinszowaniem mu tak znacznej zdobyczy; przekładali mu, iż Morawski podléj kondycyi człowiek, hultaj, rabuś, nieuczciiciel osób i domów szlacheckich, nie wart jest żadnego względu. Najwięcej instygował na niego pan G... przytomny wtenczas w Poznaniu, którego córkę jednego razu w Wschowie Morawski pijany posadziwszy sobie na kolanach, przytrzymując

ją ręką, przymusił, że mu w takiej pozyturze musiała grać na arfie, w obecności ojca i znacznej kompanii. Do surowości Morawskiego przyczynił się także Augustyn Miaskowski, rotmistrz konfederacki, kilka dniami prędzej od Morawskiego w niewoli, ale z lepszymi względami jako szlachcic i familiant, za interesowaniem się za nim krewnych i innych obywateli zostający, urazę jakąś osobistą do Morawskiego mający. Skoro bowiem przyprowadzono do tej izby Morawskiego, w której siedział Miaskowski, począł na głos wołać: że się taki człowiek nie powinien z nim znajdować, zaczęł Renn, pułkownik poduszczony takimi i tem podobnemi przeciw Morawskiemu własnych jego rodaków nienawiściami, kazał Morawskiego wyprowadzić przed kordygarde i obnażonego rozciągawszy na bruku, bić żelaznemi stęplami, aż do podrapania ciała do kości.

Taką katownią wzruszone damy polskie i Rennowa pułkownikowa, tak mocno pracowały za Morawskim, iż nie mogąc się Renn oprzeć kobiecej molestyi, kazał Morawskiego z kordygardy przeprowadzić do innej stancyi. Pozwolił mu leczyć się z plag i przyjmować wiktuały, tudzież inne potrzeby, których mu obficie damy szlacheckie i miejskie dosyłały. A gdy i oficer, przydany mu do straży i żoł-

nierze mieli dobrze, wszyscy odtąd łaskawymi na niego byli. Renn jednak podług zdania panów polskich, opisał jego gatunek do Warszawy, z kąd po kilku niedzielach odebrał ukaz, aby Morawskiego, jako hultaja, własnym ziomkom nienawistnego, obwiesić. Szczęściem dla Morawskiego, że go umieszczono w kamienicy, gdzie w garderobie były drzwi w kącie na drugą ulicę wychodzące, barłogami zawałone, dla tego od Rosyan nie uważane. Chłopiec, często tam chodząc ostrożnie, za każdym razem przerzynał pilnikiem po trosze rygiel, na który były owe drzwi zamknięte. Gdy skończył robotę tak, że drzwi otworzyć się mogły, powiedział panu. Stało się to trzema dniami prędzej, niż rozkaz na obwieszenie jego przyszedł z Warszawy. Morawski tedy, po tak pomyślném poszeptcie od chłopca, zaraz uczynił się chorym na żołądek, biegał często do swój garderoby, nie mając na sobie tylko płaszcz i spodnie, pił gorzałkę zmyśloną, jakoby z lekarstwem, a żołnierzom dostawiał prawdziwą, którą się oni nie brzydźili. Prosił oficera, aby mu posłał do apteki po lekarstwo na zatrzymanie żołądka, w którym czując jakoby nieznośne rznięcie, stękał i rzucał się po łóżku, a coraz porywał się mając szlafmycę na głowie i bóty na nogach, a przyuczywszy żołnierza, zawsze zanim wychodzącego, do przydłuższego

czekania; gdy już było blisko północy i oficer spał a żołnierze gorzałkę trapili, wyszedł Morawski szczęśliwie owemi drzwiami. Minął szyldwacha przy furtce nie zamkniętej u bramy stojącego, udając oficera, jakoby z podejrzanego miejsca, na kwaterę powracającego i łającego o nocne chodzenie po czapsztrychu, na oficera nie przystojne, prosząc aby go nie wydawał. Co mu się bardzo dobrze udało, umięjącemu doskonale język rosyjski. Jakoż szyldwach dotrzymał żądanego milczenia z bojaźni, ażeby za swoją nieostrożność w przepuszczeniu Morawskiego, z zasłonią płaszczem twarzą przechodzącego, swojej nie odniósł kary. Za postrzeżeniem tej ucieczki od żołnierza, pilnującego wychodka, rozruch straszny rozciągnął się po całym mieście, które Renn mało do góry nogami nie przewrócił, szukając Morawskiego po wszystkich domach, kątach nawet i po grobach, w którym szukaniu i chłopiec znalazł sposobność wyśliznienia się z Poznania. Morawski zaś wyszedłszy za bramę, spuścił się w fosę, którą uchodząc ponad Wartą, płynącą pod miastem, napadł na brzegu czołno, którym się przewiózł na drugą stronę pod Dębno, wioskę o pół mili od Poznania. Gdy tymczasem Rosyanie upewnieni od szyldwachów, że nikt w nocy z miasta nie wyszedł, trzęśli noc i dzień następujący miasto i przedmieścia,

Morawski coraz dalej wędrował, aż się dostał do komendy Sieraczewskiego.

Poszedł teraz Morawski pod komendę dzielnego wodza konfederackiego Zaremby i z nim razem często bił Moskali. Sam jednakowoż już nic znaczniejszego nie dokazał; podobno za nadto się ochraniał. Przyszła w końcu kréska i na niego. W Piotrkowie schwytał go Drewicz. Morawski zepsuty pijaństwem, zostawiwszy ludzi w borach grabickich, sam w kilka koni zboczył do miasta. gdzie pijąc przez trzy dni, doczekał się Drewicza, i nie prędzej dowiedział się o jego przybyciu, aż gdy już Rosyanie zapelnili to przedmieście, na którém sobie hulał. Odpadła go dawna odwaga, cudów w Gnieźnie dokazująca.

Widząc Rosyan prowadzących się na kwatery do dworu, w którym stał, skrył się pod mostek na ulicy, tam blisko będący przed klasztorem bernardyńskim. Dziad przechodzący widząc człowieka kryjącego się pod mostek, wniósł sobie, iż to musi być jakiś konfederat; w nadziei tedy jakiego ztąd zysku, dał znać Rosyanom, którzy natychmiast obskoczywszy ów mostek, wywlekli z pod niego Morawskiego, nie wiedząc kogo. Lecz gdy go przyprowadzili przed Drewicza, kapitan od gwardyi królewskiej przed kilku dniami w ręku

Morawskiego będący, przy nim się wieszający, poznał go zaraz i wydał, że to jest Morawski.

Drewicz acz był na konfederatów tyran, i słyszał od kapitana jak Morawski obszedł się nieludzko z ludźmi królewskimi, i z nim samym; nie kazał mu atoli nic złego robić. Okuto go jednak w kajdany i odesłano na Ruś do Połonnego wraz z innymi dziewięćdziesiąt konfederatami, w różnych okazyach poławianymi, z którymi Rosyanie dosyć się łaskawie w drodze obchodzili i dla łatwiejszego marszu kajdany i dybki z wszystkich pozdejmowali; ciesząc ich, iż po skończonej wojnie będą wszyscy na wolność wypuszczeni. Oficerów konfederackich wzięto na wozach, prości zaś szli pieszo, pod konwojem pięciudziesiąt piechoty i tyleż koni kozaków. Piechurowie rosyjscy, czyniąc sobie ulgę, pokładli karabiny na wozy, starszyznę konfederacką wiozące.

Co gdy tak dzień jeden i drugi uczynili, dali pochop konfederatom, do wybiecia się z niewoli ich własnym orężem. Zmowa stała między konfederatami na noclegu, w której porze za zwyczaj niewolników do kupy spędzano. Znakiem do porwania się, umówiono podrzucanie jabłka do góry przez Morawskiego. Gdy byli w lesie niedaleko już od Połonnego, nie odwołując dłużej uczynku umówionego, począł igrać jabłkiem, podrzucając je w górę i

chwytając w rękę, co widząc konfederaci, rzucili się hurmem do karabinów rosyjskich, a z temi na Rosyan; ci zaś z gołemi rękami pozostawszy pierzchnęli w stronę. Kozacy przodem jadący, obejrzawszy się na konfederatów z bronią, a Rosyan bez broni, pędem pobiegli do Połonnego. Konfederaci uszedłszy kilkoro staj, naradzili się co prędziej, i przypadli na to zdanie, aby się na drobne partye podzielić i puścić na los każdą, której posłuży szczęście, ujsć pogoni nieomylniej, z Połonnego w większej sile nadbiedz mającój.

Morawski z Piotrowskim rotmistrzem wielkopolskim, udał się w stronę jego nieszczęściu przeznaczoną. Bowiem na nich najpierwszych napadła pogoń. Bronili się do upadłego bagnietami, nie mając ładunków do strzelania. Aż skłóci wielu razami od kozaków, wpół nie żywi, po-upadali. Wzięto ich i zawieziono do Połonnego. Komendant tamtejszy kazał ich opatrzyć w wszelką wygodę, a po wyleczeniu obydwóch wraz z wielu innymi i w téj i w różnych innych potyczkach pojmanymi, odesłał do Moskwy, gdzie Morawski zostawał aż do skończenia konfederacyi.

X. Józef Zaremba.

Zaremba był jednym z najdzielniejszych i najszcześniejszych dowódców, ztąd wielką miał w konfederacyi sławę, prawie równą Kaźmierzowi Puławskiemu. Puławski tylko był walecznym z czystej miłości ojczyzny, a Zaremba więcej z wyrachowania. To też bardzo źle skończył, bo zdradził podle sprawę i poszedł w służbę moskiewską.

Ten Zaremba był z młodych lat w służbie saskiej porucznikiem, w regimencie konnym. Jednego razu podczas mustry pieszej, jakoś nie do gustu jenerała stawiając nogi, usłyszał od niego te słowa:

— Wpan chodzisz jak niedźwiedź!

Zaremba będąc wielką gorączką, odrzekł natychmiast:

— Polacy nie są niedźwiedzie!

Za tak śmiałą odpowiedź został natychmiast w areszt wzięty, który wysiedziawszy, podziękował za służbę i rozumiejąc się być po tém podziękowaniu wolnym człowiekiem, wyzwał jenerała na pojedynek. Porwano go powtórnie w areszt; zamknięto w łańcuszki i podług praw wojskowych osadzono na rozstrzelanie.

Atoli na wstawienie i prośby usilne panów polskich w Dreźnie przy królu będących, otrzy-

mał ulaskawienie, dymisią ze służby i rozkaz wyjechania natychmiast z Saksonii. Wrócił tedy do Polski, do stryja, Szymona Zareby, sędziego ziemskiego Sieradzkiego, z nauki prawniczej słynącego. Od niego połączony za złe zachowanie się w regimencie, zasadzony został nad papierami prawnymi, aby się nauczył prawa. Zaremba nie miał najmniejszej ochoty słęszć nad papierami, lecz jak mógł, wymykał się z strzelbą na polowanie.

Znienawidzony w skutek tego od stryja, oddany został do regimentu Potockiego, podcześnie litewskiego, w randze porucznika.

W krótkce kompania, do której się dostał została wysłana na Ukrainę przeciw Hajdamakom. W tej wyprawie tak się dobrze popisywał Zaremba, że tegoż lata został kapitanem, a niedługo potem majorem. W tej randze otrzymał komendę nad całym hufcem, wojującym z Hajdamakami. Uganiał się za tymi rabusiami przez trzy lata, zawsze szczęśliwie rozgramiając ich kupy, chwytając wielu i według zwyczaju wieszając lub na pal wbijając. To mu zjednało nie małą sławę.

Gdy wybuchła konfederacya barska, siedział spokojnie w dobrach swój żony, w ziemi sieradzkiej, i nie przystępował do niej, bo się zobowiązał do żadnej przeciw królowi konfederacyi nie przystępować. Aż gdy Albin Le-

nartowicz, pólkownik rozproszonego oddziału Bierzyńskiego, przybył do Sieradza i uczynił manifest przeciw świeżej konfederacyji sieradzkiej, krzywdzącą dawniejszą przez Bierzyńskiego podniesioną i w tym manifestie między innymi Zarembę także nazwał kłosem, wyczerpienia od dobrej pszenicy potrzebującym. Zebrał Zaremba na prędce swych ludzi, poszedł za nim w pogoń, obił należycie i obdarł ich zupełnie. Odtąd przyłączył się do konfederacyi i przyjął godność regimentarza, bo się obawiał, aby mu siedzącemu w domu, konfederaci wet za wet nie oddali.

Najpierwszą potyczkę zwiódł z Moskwą w Piotrkowie, w samym mieście, w którym stał załogą pułkownik Renn. Od świtu aż do południa toczył z nimi po rynku i ulicach żały bój i położył trupem 200 Moskali, jednego majora i dwóch oficerów. Dopiero gdy nadszedł z posiłkami Suwarów, wycofnął się Zaremba w porządku z miasta i ukrył się w borach i by ślad za sobą zatrzeć, rozdzielił swój oddział na kilka części i różnemi drogami pędzić mu kazał. Moskwa nie długo za nim goniła, lecz pociągnęła ku Kaliszowi, gdzie kilka tysięcy konfederatów, z różnych województw zebranych pod dowództwem Szaniawskiego, marszałka lubelskiego stało.

Zaremba zaś po potyczce w Piotrkowie wpadł

do dóbr swoich, zabrał coprędzej żonę i dzieci, i co mógł z kosztowności i zawiózł do Szląska, aby nie była wystawiona na zemstę Moskali. Po tém zabezpieczeniu żony pobiegł do Kalisza, gdzie się do bitwy przygotowywano. Zaremba żądał, żeby mu oddano dowództwo w nadchodzącej bitwie, ale dumny Szaniawski i inni marszałkowie ani słuchać nie chcieli. Rozgniewany o to Zaremba, widząc między wodzami nieład wielki i nieznajomość wojennego rzemiosła, poszedł znowu do Szląska. Jak przewidział tak się stało. Drewicz pobił konfederatów i rozproszył ich zupełnie.

Widząc taką nieudolność wodzów konfederackich w Wielkopolsce, przysłali naczelnicy konfederacyi w Preszowie we Węgrzech siedzący, patent Zarembie z tytułem regimentarza jeneralnego konfederacyi wielkopolskiej. Zaremba otrzymawszy patent, wyruszył natychmiast ze Szląska, zwołał pod Wieluń wszystkie zbrojne oddziały w Wielkopolsce z Moskalami się uganiające. W tym charakterze długo z Moskalami ucierał się w Wielkopolsce prawie zawsze szczęśliwie, a najwięcej dla tego, że zawsze sobie roztropnie poczynął.

O tym czasie przybył Puławski z wyprawy swój na Litwie i Rusi pod Koniecpol. Tu dotąd przybył także Zaremba. Przez trzy dni czynili obydwaj popisy i różne ćwiczenia wo-

jenne swych ludzi, jeden przed drugim. Puławski namawiał Zarembę, aby się z nim złączył i uderzył na Drewicza, stojącego z kilku set ludzi w Secyminie, dwie mile od Koniecpola. Ale że ci dwaj najgłówniejsi wodzowie konfederacyi, równą mieli władzę, nie chciał jeden od drugiego być zawisłym. Pomimo wyższych przymiotów umysłu, Puławski dumny był na tytuł marszałka, wyższego stopniem od regimentarza, jakim był Zaremba. Zaremba zaś z swęj strony uważał siebie jako majora w wojsku regularném, a Puławskiego tylko jako oficera konfederackiego, niższego od najniższego oficera.

Skutki tego braku jedności w działaniu były szkodliwe. Zaremba bowiem nie chciał chodzić z Puławskim, uważając iż składana zwierzchność nigdy nie ma skutków pomyślnych. Przeto odłączył się od Puławskiego pod pozorem, iż chodząc razem, byliby ciężarem dla kraju. Tak tedy Drewicz, którego Puławski sam atakować nie śmiał, cofnął się ku Warszawie.

Zaremba pomykał się powoli ku województwu poznańskiemu, ucierając się ustawnie z nieprzyjacielem. Wiedząc, że Renn pólkownik moskiewski małą tylko w Poznaniu zostawił załogę, umyslił z całą siłą podstąpić pod Poznań i w niem Moskali zatrzymać udawaniem ataku. Tymczasem zaś rozesłać exekutorów do

wybrania podatków, a potem wrócić się w województwo sieradzkie, aby takiem majaczeniem zwłóczyć czas do pomocy zagranicznych mocarstw, którą niezadługo obiecywano. Lecz los zdarzył mu potyczkę niespodziewanie szczęśliwą.

Przenocowawszy w Książu, udał się w lewy bok od traktu poznańskiego pod miasto Kościan, pod którym w poblizszych wioskach oddziałom swoim rozłożyć się kazał. Oddziały te, zmierzając do swego stanowiska, rozdzieliły się na kilkanaście traktów i postępowały wielkiem półkolem, mając przed sobą Kościan. Patkul oficer rosyjski, załogujący w tém mieście, odbierając od szpiegów i od obywateli z różnych miejsc doniesienia o konfederatach niezgodne z sobą, wysłał dla otrzymania pewniejszej wiadomości 40 kozaków z rozkazem, aby póty docierali, póki się z konfederatami nie zobaczą. Kozacy pędem bieżąc, we wsi Rąbinie, o półtóry mili od Kościana odległej, wpadli na przednią straż Zaremby, złożoną z Kujawiaków. Tam dawszy wzajemnie ognia z karabinków, ubiwszy Kujawianom trębacza i z pomiędzy siebie jednego kozaka straciwszy, uciekli napowrót. Odebrawszy wiadomość o tem wsiadł Zaremba, jadący dotychczas kolasą, na konia. Skoro minął wieś Rąbin, uszykował wojsko swe, liczące do 1000 ludzi we dwie linie i tak wolnym krokiem postępował na czystém polu. Patkul, gdy

się dowiedział od Kozaków, że się z konfederatami spotkali w Rąbinu, mając zawsze na myśli, że Zaremba z całą siłą ku Poznaniowi dąży, a ku Kościanowi wysłał tylko mały podjazd dla utajenia głównego celu, wyprawił przeciw konfederatom 200 dragonów z owymi kozakami pod komendą rotmistrza Olszowa, który upewnił Patkula, że jeśli znajdzie konfederatów, pobije ich, rozpędzi i nie mało żywcem przyprowadzi.

Dla tego Patkul, zadufany w obietnicę Olszowa, kazał robić dyby na przyszłych niewolników konfederackich i uprzętać więzienia. Sam zaś, mając u siebie gościem księcia Antoniego Sułkowskiego, siadł z nim do stołu, przy którym na zdrowie Zaremby szyderskim sposobem spełniał kielichy, nie wiedząc, że go od nich w krótkce zaboli głowa.

Olszow, żeby się nie minął z konfederatami, wysłał kozaków innym traktem ku Rąbinowi, a sam z innymi w tęż stronę ciągnął.

Gdy Zaremba postrzegł z daleka maszerujących naprzeciw sobie Rosyan, którzy zobaczywszy konfederatów we dwie linie się uszykowali, zatrzymał swoich w marszu, wybrał z różnych dywizyi 200 koni pod komendą Bartłomieja Zbierzchowskiego, podkomorzycza czerńskiego, rotmistrza od huzarów, których 50 koni wtenczas Zaremba miał przy sobie jako straż

osobistą. Kazał mu przed sobą w czworo staj postępować przeciw Rosyanom. Sam zaś z resztą korpusu za nim zwolna ciągnął.

Skoro się zbliżyły dwa nieprzyjacielskie oddziały na strzał z karabina, dały do siebie ognia z koni, od którego z obojój strony żaden nie zginął. Po wystrzeleniu uderzyli Rosyanie na konfederatów z pałaszem w rękę i od razu ich złamali. Poczęli konfederaci uciekać ku swoim i z nimi Zbierzchowski, rotmistrz, z uciętą szablą. Co obaczywszy linie korpusowe od Zaremby prowadzone, pierzchnęły także, niosąc z sobą Zarembę jak jaką nawałnicę, wołającego z całego gardła: stójcie! stójcie! nie uciekajcie! z tém wszystkiém wraz z drugimi, stójcie! stójcie! wołającymi, uciekając.

Byłby rotmistrz Olszów sprawdził obietnicę daną Patkulowi w zniesieniu konfederatów, gdyby nowa okoliczność szyków jego nie pomieszała.

Dywizye poboczne na swoje stanowiska ciągnące, usłyszawszy pierwszy ów wystrzał w Rabinie, poczęły się wracać do tego miejsca, z którego huk usłyszały i właśnie wtenczas nadbiegły w tył Rosyanom, kiedy się ci za złamaną przednią ową strażą pod Zbierzchowskim uganiiali. Wpadli tedy na nich z impetem i krzykiem.

Obejrzawszy się na ten głos nowy uciekający dopiero konfederaci, obrócili się i uderzyli na Rosyan, tylną napaścią zmieszanych. Toż dopiero z obu stron wzięwszy ich na opiekę szablami, tak się szybko z nimi uwinęli, że nie wyszło godziny czasu, znieśli całą dywizyą Olszową; legło na placu Rosyan 141, w niewolą dostało się całych i pokaleczonych 46 i rotmistrz Olszów, pod którym, jako chłopem dużym i tłustym, ulgnął koń w błocie. Uszło zdrowych do Kościana dragonów 13. Kozacy, przybiegłszy z swojego traktu i ujrzawszy z daleka otoczonych swoich, nie wdali się w bitwę, lecz pędem uciekając, nie oparli się aż w Poznaniu, gdzie swoich wielkiej trwogi nabawili. —

Patkul, obaczywszy z miasta porażkę swoich, wyszedł co prędzej z piechotą i armatą na przedmieście, na którym wstrzymał konfederatów ogniem ręcznym i armatnim, tuż za swojemi niedobitkami pędzących. Poczęli się tedy wzajemnie z za chałup i wiatraków sięgać kulami, z których jedna z sztućca ugodziła Patkula po krzyżach, że się ledwo w pół roku z téj rany wylizał. Rosyjska zaś kula armatnia do upatrzonego Zaremby wypuszczona, przeszła między głową jego i między głową Marcina Zaremby, imiennika, lecz inszego herbu, któremu po huzarsku się strojącemu, zer-

wała kołpak z głowy, bez większego szwanku tylko ku ziemi go pochyliwszy. Zaremba regimentarz, na ten frasunek rzekł: o taki k..., nie umie strzelać! jednakże, nie czekając poprawy, umknął się z tego miejsca.

Konfederatów w potyczce ręcznej zginęło sześciu, od kul pod wiatrakami padło pięciu, wszystkich jedenastu; dwunasty Iwański, obózny konfederacki; ranionych było 25.

Zapaleni szczęściem zdarzoném konfederacji, chcieli attakować miasto. Zaszedłszy z drugiej strony nieobsadzonej od Rosyan, łatwoby byli opanować mogli miasto i do nogi Rosyan wytepić. Ale Zaremba kazał z placu bitwy ustąpić, twierdząc, iż samą jazdą, szablą i karabinami tylko uzbrojoną, bez armat dobywać miasta, murem opasanego, jest hazard niebezpieczny.

Rosyanie, po odejściu konfederatów, zapakowali się w Kościanie jako najlepij. Toż samo uczynili i w Poznaniu, nieprzystali niedobitkom kościańskim posiłków, aż w pięć dni, gdy najprzód szpiegami opędzili cały powiat kościański i upewnieni zostali, że nigdzie blisko nie masz Zaremby.

Lubo się Rosyanie z niewolnikami konfederackimi aż dotąd bardzo źle obchodzili, on jednak łaskawie postępował z Rosyanami w niewolę pod Gostyniem i pod Kościanem zabra-

nymi. Dawał im na stanowiskach wszelkie wygody, ranionym opatrzenie i podwoły. Rotmistrza zaś Olszowa zawsze tuż przy sobie sadzał u stołu, kolaską go swoją woził i wszelkie uszanowanie dla niego przykazał; czém tak ujął Rosyan, że odtąd łagodniej się z konfederatami, z którejkolwiek partyi pojmanymi, obchodzili. Prostych żołnierzy rosyjskich odesłał do fortecy częstochowskiej do Puławskiego, gdzie byli trzymani aż do końca rewolucyi, ponieważ Puławski niechciał oddać Rosyan, ażby jego ludzie, w różnych potyczkach zabrani, oddani byli. Ci zaś, co byli poprowadzeni na Syberyą, nie mogli być oddani; rotmistrza zaś Olszowa trzymał Zaremba przy sobie blisko sześciu niedziel, za którego pod konwojem konfederackim odesłanego do Poznania, wydał Renn czterech rotmistrzów z konfederacyi wielkopolskiej.

Po téj rozprawie poszedł Zaremba pod Zduny, wieszał się kilka niedziel około Piotrkowa i Częstochowy, a ostatecznie wrócił znowu w Poznańskie, aby z Poznania wypędzić Moskali.

Pułkownik Renn, mając nie wielką załogę przysłał żonę swą, aby namówiła Zarembę do zaniechania szturmu, ale bezskuteczne były jój proźby. W kilka godzin po jój odejździe wyprawił Morawskiego Antoniego w 300 koni

z rozkazem, żeby całą noc aż do świtu alarmował Poznań. Działo się to w zimie. Noc była ciemna; Moskale myśleli, że Zaremba z całym wojskiem podstąpił. Odstrzelali się z murów jak najmocniej.

Morawski sam jeden tylko pomiędzy wszystkimi szczęśliwie zdrowymi, dostał od kuli karabinowej postrzał w udo, i na tém się alarmowanie jego skończyło. Nazajutrz Zaremba w większej liczbie powtórzył alarmowanie. Trzeciego dnia sam z całą siłą swoją podstąpił pod Poznań, opasał go z trzech stron, bo czwarta od Kobylegopola, dla mostu dawniej przez konfederatów zepsutego, na rzece Warcie, przystępną nie była. Sam się ulokował z główniejszą siłą na przedmieściu św. Wojciecha. Konfederacyi wieluńskiej i kujawskiej, mało co większą liczbę nad dwóchsetną wynoszącą, dostało się przedmieście Chwaliszewo, na które przyciągnawszy, podtarli aż do mostu na rzece Warcie, dzieląc miasto od tegoż przedmieścia. Widząc zaś most podniesiony, powchodzili do domów, dla ogrzania się od zimna przeraźliwego. Postrzegli taką nieostrożność Rosyanie, uczynili wycieczkę, ubili jedenastu, w niewolę zagarnęli 20 i kilkanaście koni.

Byliby konfederatom większą zadali klęskę, gdyby był Wawrzyniec Potocki w odwodzie za nimi idący, na pomoc nie przypadł,

i ubiwszy kilku kozaków, łapaniem koni zatrudnionych, nazad do miasta nie wparował.

Zaremba po opasaniu miasta, kazał do niego strzelać z dwóch armat polowych, które miał przy sobie i z ręcznej broni. Na co takimże sposobem odpowiedzieli Rosyanie do snujących się między budami konfederatów. Tak tedy były się obydwie strony przez dzień cały z małą ze strony rosyjskiej, z żadną konfederacyi szkoda.

Nazajutrz Zaremba kazał naspędzać pod miasto kilkaset chłopów z siekierami, posylokował ich i konfederatów do każdej bramy i do miejsc słabszych, jakoby już zapewne miał szturm przypuścić. Co widząc Renn, przysłał do niego oficera z trębaczem, prosząc o trzy dni zawieszenia broni, ażeby mógł z Warszawy odebrać rezolucyą, co ma czynić. Zaremba wstrzymał swoje szturmy, ustało z obu stron strzelanie, ogłoszono do trzech dni zawieszenie broni. Renn z kilku oficerami przyszedł do kwatery Zaremby i tam długo z sobą rozmawiali, raz po polsku, drugi raz po francuzku. Przekładał Renn Zarembie jak najusilniej, aby szturm zaprzestał.

Zaremba na te wszystkie przedstawienia głuchym się czyniąc, przekładał Rennowi, iż w tak małej liczbie, jaką ma, a jaka jemu jest dobrze wiadoma, w mieście tak obszerném długo

bronić się nie może, że mu pozostaje tylko, jeżeli ludzi swych na rzeź wystawić nie chce, honorową kapitulacją uczynić.

Po téj rozmowie obydwaj wodzowie nie zwyciężeni wzajemnymi uwagami, rozstali się, myśląc, jakby jeden drugiego usiłowania pozba-
wił skutku. Renn wygnał wiele ludzi próżnych, także po połowie z każdego klasztoru zakon-
ników i panny świeckie w klasztorach będące, ażeby żywność zrewidowana w każdym domu
i spisana, za umniejszeniem ludzi, dłużej dla
wojska wystarczała, jeżeliby potrwało oble-
żenie. Kazał narobić niezmierną moc kołków
żelaznych czworokańczastych, któremi zasiaw-
szy ulice, gdyby tego potrzeba było, mógłby
wstrzymać impet wpadających do miasta kon-
federatów, kaleczących sobie nogi o téż kołki
i utykających na głowy, a tym samym dających
czas Rosyanom porządnego rejterowania się
do jezuickiego kolegium.

Nazajutrz kazał spalić przedmieście od
wielkiego mostu od konfederatów nie opano-
wane, żeby konfederaci, przeprawieni nocą na
statkach przez rzekę, nie wdarli się na toż
przedmieście i sił jego szczupłych nie rozer-
wali, gdyż nie miał więcej nad 400. Gdy się
zaczęło wspomniane przedmieście palić, ofice-
rowie konfederaccy z drugiego przedmieścia,
rzeką oddzielonego, poglądając na podnoszący

się płomień, poczęli wołać na Zarembę: oto oczywiście wyzywa nas do bitwy, gdyż nie dotrzymuje zawieszenia broni, zaczęć trzeba go atakować, nie czekając wyjścia czasu rozejmu! A choćby szturm formalny zdawał się być niebezpieczny, to samem alarmowaniem noc i dzień Rosyan, możnaby opanować Poznań, gubiąc ich po trosze i trapiąc niewczasem!

Jakoż pierwszego dnia konfederaci podkradając się z za budynków i biorąc na oko z sztuców, ubili ich 15, jako uwiadomili o tém mieszczenie. Zaremba, na to naleganie wojska swego, posłał do Renna oficera z trębaczem dopytując się, co ma znaczyć w czasie zawieszenia broni krok nieprzyjacielski, palenie przedmieścia. Renn odpowiedział, że to jest przypadek. Zaremba, jakoby nie poznając przyczyny ognia, przestał na téj odpowiedzi; a lubo mu oficerowie palcem wskazywali kozaków, biegnących na koniach z pochodniami i podpalających budynki, nie chciał na to patrzeć, odpowiadając: trzeba dotrzymać słowa.

Tak tedy spalone zostało całe przedmieście w oczach konfederatów, któremu na ratunek dla zepsutego mostu i innego przystępu nie mającemu, przybyć nie mogli. Zaremba po wyjściu trzech dni, zaczął znowu z trzech stron strzelać do miasta. Renn natychmiast przysłał do niego, prosząc jeszcze o dwa dni po-

koju. Zaremba widząc, ile by go ludzi ten szturm mógł kosztować, chętnie przystał na to. Skoro zaś doszła go wiadomość, iż Rosyanie idą z Torunia z odsieczą, odstąpić przyrzekał byle mu Renn wydał wszystkich konfederatów z różnych potyczek zabranych, w niewoli u niego będących, i odesłał podatki zaległe u miasta od ostatnich kwitów konfederackich.

Ponieważ te propozycje nie Renną nie kosztowały, natychmiast przystał na nie, życząc sobie z duszy pozbyć nieprzyjaciela z oczu, który go samym niewczasem mordował i strachem przerażał. Kazał co prędzej złożyć miastu podatki i odnieść Zarembie. Naźdierawszy z rzemieślników czapek, bótów, pasów i żupanów, okrył niemi więźniów konfederackich, tylko w koszulach i spodniach parcianych, w piwnicach trzymany, i tak przystrojonych, w liczbie 95, odesłał Zarembie. Z nieukontentowaniem wielkiem wojska swego i chłopstwa, na rabunek miasta wielki apetyt mającego, odciągnął Zaremba od Poznania.

Zaremba nigdy nie za prędko nie robił, owszem nieraz leniwo się poruszał, by nie narażać siebie i oddziału swego. To mu dużo zjednało niechęci. Obudziły się pódjejrzenia, że zdradza sprawę. A przyczyniało się do takiego posądzania wiele bardzo zdarzeń. Od czasu jak był pod Poznaniem, ani Renn, ani

Drewicz go nie zaczepiali, dóbr jego Moskale nie pustoszyli, chociaż na innych konfederatach okrutnie się mścili. Zaremba dalej nie ogłosił bezkrólewia, kiedy naczelnicy powstania odsadzili Stanisława Augusta od tronu.

Być może, że znając jego dzielność i męstwo, obawiały go się pojedyncze oddziały moskiewskie; z drugiej strony Zaremba, działając podług taktyki wojskowej na niepotrzebne straty swych wojsk narażać nie chciał. Mówi przynajmniej za tém, że jeszcze długo pozostał na placu wojny i z Moskałem dzielnie się ucierał. Być téż może, że widział upadek konfederacyi niechybny i dlatego troskliwszy o swoje dobro aniżeli ojczyzny, nie chciał się zbyt znacznie narażać na niełaskę króla i Moskwy.

Król rozgniewany na konfederatów, że go śmieli wyzuć z tronu, postanowił wszystkie swe siły obrócić na zgniecenie konfederacyi. Że zaś Puławskiego rozłożonego po fortecach król i Moskwa wyparować nie mogła, obrócili wszystką siłę na drugiego głównego dowódcę, Zarembę, mając nadzieję pokonawszy tego, łatwiej zniszczyć Puławskiego.

Wysłano tedy pod komendą Ksawerego Branickiego, hetmana wielkiego koronnego, który się chęłpił, że Zarembę żywego lub zabitego przywiezie do Warszawy, z 8000 żołnierzy.

Branicki, porozsyławszy rozkazy do Moskali, aby naznaczony dzień i godzinę stanęli na pewne miejsce, zbliżał się do Widawy, gdzie Zaremba na niego czekał w polu. Branicki próbował naprzód namówić Zarembę do złożenia broni, dając mu czas do namysłu pięć dni. Zaremba przystał na to — wodzowie poczęli się wzajemnie codziennie nawiedzać i pić do upadłego. Tymczasem przed upływem tego czasu mały wypadek spowodował bitwę.

Chorągiew jedna ułanów królewskich, z dywizją konfederatów sieradzkich pod rotmistrzem Kazimierzem Grodzickim, szwagrem Zaremby, zawiodła potyczkę i ubiła rotmistrza. Na wieść, że zginął rotmistrz Grodzicki i że ułani królewscy na Sieradzanów uderzyli, porwał się Zaremba z łóżka, gdzie jeszcze po wczorajszej hulatyce spoczywał, jak sparzony a podniosłszy w górę oczy i ręce zawołał: Boże, Ciebie biorę za świadka, jako nie ja łamię danego słowa. Po tym krótkim pacierzu, długiego niezwycajny, nie wchodząc w roztrząśnienia, jak się to stało, kazał otrąbić do koni i mniéj godziny czasu z pozbieranymi rotami wyszedł w pole; co widząc partya Branickiego, także poczęła się ruszać z kwater, lecz bez rozkazu wodza nie wiedziała, w jaki ład miała się szykować.

Branicki winem zmroczony, nie chciał

dać wiary pierwszym doniesieniom, że Zaremba gotuje się do potyczki, aż gdy jeden za drugim poczęli mu dawać znać, że Zaremba już bije, dopiero kazał sobie podać konia i przybiegł na plac bitwy wtenczas, kiedy już uzarowie Zaremby, pod przewodem rotmistrza Dębskiego, złamawszy dragonią litewską, wpędzili ją na ułanów królewskich, na których i na kawaleryą lekką jenerała Byszewskiego z drugiej strony wpadł Mazowiecki regimentarz i Morawski pułkownik; z trzeciój zaś strony zagarnął ich sam Zaremba z Sieradzanami. Tak tedy z trzech stron wzięwszy ludzi królewskich w ogień, nie dali się im rozpostrzeć.

Branicki latał na koniu między swoimi, chcąc ich do sprawy przywieść, lecz gdy przed natarczywością konfederatów żadnego porządku uczynić nie mógł; przyszło i jemu z pierzchającymi hufcami w zawód uciekać; w której ucieczce o włos nie zginął, albo się w niewolę nie dostał, gdyby go była omyłka jedna nie ratowała. Towarzysz jeden konfederacki, zabijwszy ułana królewskiego w początku bitwy, ubrawszy się w jego kurtkę i przesiadłszy na jego konia, tuż doganiał Branickiego z wyniesioną do cięcia szablą; drugi towarzysz konfederacki, nadbiegłszy, rozumiejąc go być ułanem uciekającym za Branickim, ciął go w rękę i tym sposobem zatrzymał w dopędzaniu, i gdy oby-

dwaj, poznawszy się, sfolgowali w pędzie dla obwinienia ręki skaleczonej, dali sposobność Branickiemu do wyslizgnięcia się z ich rąk. Ten doganiany od innych, nie mogąc już wprost uciekać, skreślił koniem na błota, a ulgnawszy konia zostawił i sam pieszo przeprowadzony od chłopca, uszedł na drugą stronę.

Legło na placu z strony królewskiej 250, w niewolę dostało się 91 i jeden kapitan od gwardyi konnej litewskiej; reszta poszła w rosyjkę. Z strony konfederackiej legło 56. Brańców wszystkich oddał Zaremba pod strażą Morawskiemu z rozkazem tajemnym, aby ich w marszu po trosze wypuszczał aż do ostatniego, bez żadnej krzywdy, ale Morawski tego rozkazu nie usłuchał.

Dowiedziawszy się Zaremba od szpiegów i przyjaciół, iż z kilku stron Rosyanie na niego ciągną, dorozumiał się, iż Branicki owych pięciu dni zawieszenia broni nie na inny koniec chciał użyć, tylko, żeby Zarembę zewsząd otoczywszy, albo przymusić do poddania się, albo znieść do szczętu. Dla tego nie czując się na równych siłach, komendy poróżdźlał w różne strony, a sam znowu z żoną i dziećmi udał się do Szląska pod Byczynę na dawną kryjówkę.

Zbliżył się fatalny rok 1772, w którym obce mocarstwa sąsiednie, porozumiawszy się

poprzednio, Polskę pomiędzy siebie podzielić umyślili. Król pruski Fryderyk Wielki zajął wojskiem województwa pruskie i wielkopolskie, ściskając i wyganiając z nich coraz głębiej w kraj konfederatów.

Ci wypędzeni z Kalisza, ostatniego swego stanowiska, udali się w Sieradzkie pod Piotrków, gdzie ich wódz jeneralny partyi wielkopolskiej, Zaremba tulił się z Sieradzanami i Wielunianami. Król pruski, z pobudki swoich jenerałów, z którymi Zaremba dobre zawsze utrzymywał, ile mógł, porozumienie, napisał do niego w téj myśli: „Mości Panie Zarembo, masz zalecenie od moich jenerałów, że jesteś dobry żołnierz i że nie niszczysz obywateli swoich; z tych względów radzę WPanu, ażebyś nie czekając ostatniego losu bardzo bliskiego zniknięcia konfederacyi, jak najprędzej pojednał się ze swoim królem, a Rosyanom na drodze nie zastępował.“ Zaremba tedy złożwszy radę wojskową, dał wszystkim umiejącym po francuzku, jakim językiem był pisany, ów list, do czytania. Przełożył całej radzie, iż już nie masz żadnej nadziei utrzymania się dalszego pod bronią, że trzeba użyć momentu pozwolenia na ocalenie samych siebie, kiedy przepadła sprawa. Zaczém wszyscy przystali na to, aby wyprawić do Warszawy posłów, którzyby o

poddaniu Zeremby i jego oddziału z królem traktowali.

Otrzymawszy przebaczenie z Warszawy, poddał się Zaremba Drewiczowi. Konfederatów rozpuścił do domów, a sam pojechał do Warszawy. Gdy wjeżdżał do stolicy, lud zbiegał się do niego tłumem, łając i przeklinając go w głos, że się poddał, i zdrajcem go ojczyzny obwoływał. Inni rozsądniejsi winszowali mu, iż z honorem i ocaleniem swego wojska zakończył dzieło niebezpieczne.

Król obiecywał Zarembie rozmaite łaski, ale ich nie dotrzymał; wreszcie mianował go generałem majorem w wojsku koronnym. W trzy lata po upadku konfederacyi marną śmiercią zginął.

Miał wielkie upodobanie za ładą imaginacją słabości, używać kąpieli. Jednego razu wybierając się do Warszawy, wezwany od króla, kazał sobie w miasteczku swoim Rozprzy przygotować zwyczajną kąpiel mokrą. Brat jego rodzony Franciszek, łowczy sieradzki, znajdujący się przy nim, ganiąc wannę mokrą, zachwalał suchą, i napomknął, iż u stolarza tamtejszego, widział wannę nową osobliwą. Zaremba właśnie, jakby go śmierć korciła, kazał ową wannę natychmiast do siebie przynieść. Stolarz jakimś instynktem wzbraniał się jęj wydać, pod pozorem, że jeszcze nie zupełnie dokoń-

czona. Zaremba niecierpliwy widzenia owęj wanny, posłał kaprała swego z dwoma kozakami nadwornymi, aby ją przynieśli; zatém przyszedł za nią i stolarz, który opowiedział i pokazał, jak ma być używana.

Zaremba, chciwy téj nowomodnéj wanny, wszedł do niéj naprzód w sukniach, a potém widząc, że jest w miarę jego, rozebrał się co prędzej i usiadł nagi. Wieko zamykało się z wierzchu przy saméj szyi, tak iż tylko głowa wychodziła nad wannę, a cały człowiek zamknięty, naparzony spirytusami, pocił się w wannie. Obłożono go około szyi ręcznikami, aby para nie wychodziła; puszczano po trosze rurką przyprawioną do téjże wanny, gorzałkę okowitę na cegłę rozpaloną, w naczyniu glinianém na dnie wanny podłożoną, która gorzałka smażyć się na cegle, ciepłą parą obejmowała siedzącego. Delektował się zrazu Zaremba tym wyciągającym z ciała humory wynalazkiem; lecz gdy chłopiec Zajączkowski, świecący kamerdynerowi, lejącemu przez lój do rury gorzałkę, przytknął świecę do flaszki półgarcowej, a kamerdyner, sparzony zapaloną od świecy gorzałką, upuścił flaszkę w lój, która się stłukła, i gorzałka paląca się, raptem buchnąwszy w wannę, sparzyła Zarembę; krzyknął z całego gardła i chciał wyskoczyć z wanny; lecz wieko tak się zaparło, że tłukąc się

co siły po wannie i wrzeszcząc, nie mógł jęj otworzyć. Dodał większej operacyi ogniowi brat Zaremby, Franciszek, gdy ręcznik okręcony około szyi oderwał. Albowiem płomień tym otworem wybuchnął i okrył całą twarz Zaremby, a zapaliwszy na głowie włosy zwyczajnie tłuste od pomady, wzbił się w górę aż do pułapu niskiego. Którym widokiem przestraszeni wszyscy przytomni, puciekali na dwór, Zarembę nieszczęśliwego w owych płomieniach piekącego się, odbiegłszy. Tak tedy kilkanaście minut gorzał, aż przecie Lutosławski, gość wtenczas u Zaremby, wpadł do izby z siekierą, rozrąbał wannę i Zarembę z ognia uwolnił, lecz tak dobrze upieczonogo, że kawały ciała przylgnęły do wanny. Obłożono go czém prędzej śmietaną i drożdżami, poobwijano w prześcieradła i ręczniki. Tak obwinięty począł się przechadzać po izbie, jęcząc z wielkiego bólu i utyskując na swoje nieszczęście; kazał wołać księdza; lecz brat Franciszek, pierwszy owój wanny sprawca, wcale w takim razie bez rozumu człowiek, począł mu perswadować, aby sobie aprehensyi nie dodawał; że tyle jest praktyk ludzi wydobytych z pożaru, na pół upieczonych, wygojonych. Dopiero on, mając tylko skórę z wierzchu przypaloną, miałby na to umrzeć; radził mu, aby się napił wódki i położył w łóżku. Zaremba,

że lubił wódkę, usłuchał brata; lecz skoro wypił kieliszek, natychmiast począł się mieć gorzej, bo naturalnie uważając, ogniewi powierchownemu przydał podniety z wewnątrz. Położonemu w łóżku posłali po księdza, który już z nim nie mógł nic zrobić, zastawszy go bez zmysłów. Więc tylko mu dał absolucyą warunkową, a razem pokłękawszy z wszystkimi, mówił litanią za konających, podczas której Zaremba skonał. Zajączkowski chłopiec, który z swawoli, jako się potém wydało, tę fatalną zrobił psotę, aby sparzeniem prędzej Zarembę wypłoszył z wanny, i czas do spania sobie przyspieszył, zaraz w pierwszym zamieszaniu uciekł. Zarembę pochowano w Rozprze. Taki był koniec Zaremby, który mimo swojej obojętności ze skutków przewidzianych pochodzącój, był jednak dobry żołnierz, a nade wszystko szczęśliwy. Jeżeli mu to za wadę miałoby być poczytane, że szczerze nie bił Rosyan, to przynajmniej ochronę wojska swego cnotą nazwać można. Król dowiedziawszy się o jego śmierci, żałował go mocno; rzekł do przytomnych: O Boże, jak niedościgły jesteś w wyrokach swoich, jak wiele masz rodzajów śmierci dla człowieka!

XI. Porwanie Króla.

3 listopada 1771 r.

Cztery lata ubiegały jak podniesiono broń przeciw Moskwie. Wszystkie usiłowania i czyny poświęcenia i pomoc zagraniczna były daremne. Moskwa gospodarowała w Polsce jak w własnym kraju, wycinając w pień przychylnych konfederacyi i majątności ich pustosząc. Konfederaci, nie wiedząc sobie innéj rady, odważyli się na niesłychanie śmiałe przedsięwzięcie, zamierzili porwać króla, zaprowadzić go do obozu konfederatów i zmusić go stanąć na ich czele, w walce przeciw Moskwie.

Myśl tę powziął Stanisław Strawiński, człowiek nadzwyczaj śmiały, który był w stó-sunkach ustawicznych z konfederacją, a także w Warszawie i okolicy rozliczne miał związki. Strawiński udał się do Częstochowy do Puławskiego, aby go wciągnąć do tego zamachu na króla, uzyskać przyzwolenie i pomoc odpowiednią. Przy piérwszém spotkaniu Puławski przyjął obojętnie Strawińskiego, nie chciał mu nawet udzielić patentu na kapitana, ani pozwolić werbować ochotników. Gdy jednak Strawiński niezrażony przedłożył mu później cały plan porwania króla i to z najdrobniejszymi szczegółami, nabrał Puławski ufności, że człowiek, który

śmiało i zręczne tworzy plany, zdoła je też wykonać. Dał mu tedy Puławski potrzebne pieniądze i polecenie do Łukawskiego, porucznika konfederacyi zakroczymskiej i innych oficerów, aby mu wszelkiej udzielili pomocy, jakiej tylko zażąda.

Podług planu miał Strawiński wziąć z sobą 30 dobranych i śmiałych ludzi, wprowadzić ich przebranych do Warszawy, porwać króla 3 listopada i odstawić go wprost do Częstochowy.

Nie wolno jednak było w żadnym razie targnąć się na jego życie.

Puławski ze swój strony miał wspierać to odważne przedsięwzięcie. Największa część wojsk rosyjskich była rozstawiona w stronie ku Krakowu. Puławski chciał się pokazać pod Warszawą w stronie przeciwległej, wywabić wojska moskiewskie za sobą, zatrudnić ich różnemi utarczkami i marszami. Tym fortelem miała być droga ku Częstochowie uprzątnięta i oddziałami konfederackimi obsadzona, aby król nie mógł uciec lub być odbitym.

Strawiński począł czynić przygotowania. Ażeby nie zwracało uwagi moskiewskiej to, że przybywał do Warszawy w towarzystwie wielu ludzi, starał się przyzwyczaić Rosyan do częstego widywania siebie. Wjeżdżał do Warszawy po kilka razy przy furach, wiozących zboże

i inne płody na sprzedaż, w otoczeniu kilku zbrojnych ludzi, jakoby dla zabezpieczenia się od napadu konfederatów.

Aby zaś upatrzeć sobie najdogodniejsze przejście przez wał, usypany koło Warszawy, zmyślił, że służący skradł mu kilka koni, i odszukać go w Warszawie nie może; mówił: uciekł przez okopy, trzeba poszukać śladu, aby można za nim gonić. Komendant dał mu sierzanta, z którym objeżdżając wał, upatrzył sobie wyborne miejsce do przejścia. Kupił potem pod Warszawą dziesięć wozów chłopskich, naładował sianem lub słomą, a w środku ukrył broń, siodła i mundury i dnia 1 listopada wprowadził wraz z Łukawskim do najbliższego boru. Tam przenocował, poprzebierał towarzyszy w sukmany wieśniacze i ruszył rano 2 listopada ku Warszawie. Trzech wysłał przodem, aby udali, że są parobkami Strawińskiego i powiedzieli na rogatkach, że pan ich przybędzie wieczorem do miasta z transportem. Wszystko udało się jak najszcześliwiej. Jedni przy furach, drudzy innemi drogami, udając się za flisów, powychodzili do Warszawy i zgromadzili się w stajni dominikańskiej na Nowém Mieście, gdzie Strawiński zwykł był stawać, kiedy przyjeżdżał na targ. Aby się nie zdradzić, stali tam zamknięci prze cały dzień; sami tylko dwaj dowódcy chodzili po mieście.

3 listopada udał się Strawiński do zamku królewskiego, gdzie od znajomych dowiedział się, że król nie pojedzie na teatr, ale do chorego wuja ks. kanclerza. Lepiej sobie nie mógł życzyć — wszystko się jak najpomyślniej układało. Nadeszła noc długa i ciemna, że oko wykół, jak to bywa w listopadzie.

Strawiński sprawił swój hufiec i koło pałacu ks. Czartoryskiego ustawił. Kilku konfederatów pieszych postawił na straży przy rogach ulic, a resztę podzielił na 3 części: z jedną miał sam zatrzymać czoło konwoju króla, Kuźma miał z drugą napaść na karetę króla, wyciągnąć go i uprowadzić, a Łukawski z tylną odciąć jadących za karetą. Wszystkim zakazano strzelać, chyba w koniecznej potrzebie a między sobą używać języka rosyjskiego.

Zaledwie się ustawili aliści przechodzi patrol ułanów królewskich. Widząc ludzi uzbrojonych i rozpoznać ich nie mogąc, zapytał się ktoby byli, a otrzymawszy odpowiedź, że są patrolem kozackim, minął ich spokojnie.

O w pół do dziesiątej wyjechał król od ks. kanclerza. Nie wiele miał ludzi przy sobie. Przed karetą jechało konno dwóch ludzi z pochodniami, kilku oficerów służbowych, dwóch dworzan i podkoniuszy; w karecie z królem główny adjutant, przy bokach karety dwóch paziów, a za karetą dwóch hajduków i dwóch

lokaj pieszo. Jadący przed kareta wzięli konfederatów rozmawiających po rosyjsku za patrol. Podkoniuszy zawołał: „król jedzie“ i na ten odgłos rozstał się pierwszy oddział i przepuścił ich spokojnie. Drugi tedy oddział i trzeci wypadłszy z ulicy Kapitulnej i Miodowej opadły kareta. Stangret zaciął konie, ale konfederaci już je trzymali. Lokajowie i paziowie bezbronni uciekli. Dworzanie królewscy Osmiałowski i Bachmiński strzelili w tłum z pistoletów, poczem szablami bronili przystępu, hajducy z pałaszami stanęli przy bokach. Wtenczas spiskowi zaczęli strzelać, rąbać i płazować otaczających kareta. Padł jeden hajduk przeszyty dwoma kulami, drugi powalony został na ziemię cięciem pałasza.

Wśród zamieszania i boju wołano na króla, aby wysiadł; sam więc otworzył drzwiczki jedne a adjutant drugie. Adjutant wlażł pod kareta, a król korzystając z ciżby i ciemności przebiegł pomiędzy oddziałem Łukawskiego ku bramie kanclerskiego pałacu. Przyczajonego pod kareta adjutanta postrzeżono, a kiedy go poznano i przekonano się że król im się wymknął, poczęli go szukać. Król zaś znalazłszy bramę podwórza przy pałacu zamkniętą, zaczął silnie kołatać, co usłyszawszy Łukawski przebiegł, poznał i pierwszy pochwycił. Później przybył Strawiński i rzekł: Nie opieraj się królu!

trzeba z nami jechać, powóz czeka. Przy tém chwytaniu jeden ze spiskowych niewiedząc, że to król, ciął go lekko w głowę, a Kuźma chcąc się przekonać, że to istotnie król, wystrzelił mu pod nosem z pistoletu. Wsadzili go tedy na konia i oddali Kuźmie i dziesięciu towarzyszom do uprowadzenia. Oddział za oddziałem przebiegł ulicę Miodową, Długą koło arsenału, nie zatrzymany przez nikogo aż do okopów, gdzie wybrał miejsce Strawiński. Łukawski pierwszy przebył okop pomyślnie; lecz gdy Kuźma z ludźmi swymi go przechodził, koń pod królem ugrzązł w błocie i król zgubił futro i trzewik, Uplynęło chwil kilka zanim podano innego konia, a zamiast futra i trzewiczka dostarczono płaszcz i buta.

Przez ten czas Łukawski za daleko na-przód popędził, a Strawiński idąc wolno i przy-słuchając się, co się w Warszawie dzieć będzie, jeszcze nie nadszedł.

Powróćmy do Warszawy. Eskorta królewska przybiegła na zamek i rozniosła trwozę; warta pospieszyła na miejsce napadu, lecz nikogo nie zastała jedno zabitego hajduka, kape-lusz i harbajtel królewski. Ponieważ nie wie-działa co robić, gdzie się udać, i nikt rozkazów nie wydawał, wróciła się napowrót. Książę kanclerz na pierwsze doniesienie, że jacyś lu-dzie napadli króla na ulicy, kazał mocniej za-

tarasować bramę. Posel rosyjski na wiadomość o porwaniu króla zamknął się w swoim pałacu. — Generał Bibików, dowódzca wojsk rosyjskich w Warszawie, wystawiając sobie, że rozruch w mieście nastąpił, troszcząc się o własne bezpieczeństwo i szczupłej swojej załogi, wynoszącej 209 ludzi, bał się cośkolwiek przedsięwziąć. Gwardya miała stare zepsute ładunki. Wszystko to obudziło straszny niepokój, a strach ma wielkie oczy ! przychylni królowi i jego pochlebcy widzieli w strachu rojących się konfederatów. Nie znalazł się nikt, ktoby pospieszył królowi z pomocą. Nie dziw, bo król nie miał szczerych przyjaciół i Moskale go lekceważyli, a mniemani przyjaciele i pochlebcy pamiętali o nim tylko w ten czas, kiedy im co z łaski pańskiej spaść mogło.

Tymczasem Kuźma ruszał z królem dalej, lecz nie widząc Łukawskiego trwoga coraz większa go ogarniała. Chociaż świadomy okolicy, błędzić począł i trafić nie mógł na umówione miejsce. Wysłani dwaj na szukanie drogi więcej jeszcze zmieszali kierunek. Spiskowi w innych oddziałach, nie znajdując Kuźmy z królem, rozjechali się go szukać, lecz używając języka rosyjskiego, tym większego strachu napędzali towarzyszom Kuźmy. Powoli tedy umykać od niego poczęli, tak że w końcu Kuźma sam pozostał z królem. Król używając swój wy-

mowy tyle dokazał na wystraszonem i pomięszanym Kuźmie, że go zamiast do lasku bieleńskiego zaprowadził pod Buraków. Tam rzucił się sam do nóg prosząc króla o przebaczenie. Niedaleko był wiatrak; z tam tąd przesłał król rozkaz dowódcy swój gwardyi, aby przyszedł po niego z 40 ludźmi.

Rozmaitych obrazów dostarczył wjazd króla do zamku. Rozczochrany, zakrwawiony w podartych i obłoconych sukniach wysiadł z powozu pomiędzy panie i swych pochlebców, którzy go witali ze łzami i z zarzekaniami o swój wierności i przywiązaniu.

Nazajutrz przyjmował król urzędowe powinszowania. Chwalił się, że wymową swoją ocalenie pozyskał — i że gdyby był dostał się do Częstochowy, byłby wymową swoją konfederatów rozbroił.

Trzeba nam jeszcze zobaczyć, co robią dowódcy dwóch innych oddziałów. Strawiński nie słysząc z miasta pogoni, udał się na umówione miejsce i zastał już Łukawskiego. Zdziwieni, że Kuźmy z królem nie widać, gdy dzień poczęło, ukryli ludzi w lasku, a sami wyjechali na zwiady. Lecz co tylko weszli do jednej chałupy, obskoczyło ich kilkadziesiąt kozaków. Widząc, że męstwem jedynie ocalić się mogą, rzucają się między szeregi. Strawiński, zastrzelivszy dowódcę i zarąbawszy kilku

zdołał uciec w głąb boru. Łukawski nie tak szczęśliwy padł skłuty na ziemię; a osadzony za zabitego, z odzieży obdarty, z pieniędzy i papierów pozostał na ziemi. Po odejściu kozaków powrócił Strawiński troskliwy o los towarzysza z kilku innymi na miejsce walki, a dostrzegłszy jeszcze znaki życia, wziął go na konia i zawiózł do felczera, poczem dowiedziawszy się o wszystkiém, co zaszło z królem i Kuźmą, oddalił się z pod Warszawy.

Rozgłoszone to zdarzenie i poprzekręcane zjednało dla konfederatów dużo nieprzyjaciół, zwłaszcza u obcych monarchów.

W Warszawie rozpoczęto poszukiwania sądowe. Kuźma wydał wszystkich współników. Przedłożono tę sprawę w roku 1773 przed sejmem. Wyrok wskazał Puławskiego, Strawińskiego i Łukawskiego na śmierć przez ucięcie głowy i konfiskatę majątków. Kuźma został wskazany na wygnanie, lecz łaska królewska osłodziła mu to wydalenie z ojczyzny; Cybulski na śmierć, dwóch innych na roboty w warowni. Reszta na śmierć osądzona, zbiegła. Wyrok śmierci spełniono tylko na Łukawskim i Cybulskim.

XII. Jak wyglądali konfederaci?

Aby dać wyobrażenie czytelnikom, jakie było uzbrojenie i umundurowanie konfederatów, kiedy nastąpiła pewna organizacja, przytaczamy jeszcze ustęp z pamiętników naocznego świadka.

Wszystkie pułki oporządzone były nalezycie w konie, broń i mundury. Już się pozbyły gałganów początkowych, słomianych kulbak czyli worów słomą wypchanych; mizernych szkapin, szabel w węgorzowych pochwach, owczarskich bandoletów, myśliwskich rusznic z potraskanemi lufami i ladajakiemi zamkami; pistoletów na smyczy z szyi wiszących i innych wojennych gratów, w które się konfederaci z początku jak mogli uzbrajali, a które częstokroć zamiast obrony, stawały się im zgubą, mianowicie pistolety, których po kilka par nosili około siebie towarzystwo i oficerowie: w olstrach parę, na tasaku z jednego boku parę, z drugiego parę, na smyczy parę. Teostatnie w nagłym biegu, mianowicie przez bory w ucieczce, bujając około jeźdca, zawinawszy się o drzewo, ściągnęły go z konia i przytrzymały doganiającemu nieprzyjacielowi, a inne obciążały lichą szkapinę. Nie miał potém żaden konfederat, prosty i oficer, jak jedną parę pistoletów w olstrach, drugą niektórzy na tasaku, karabinek i szablę.

Mundury nastaly dla każdego pułku, jednostajne kurtki granatowe, czapki z wysokimi baranami, pasy do flint i ładownice łosiowe, biało farbowane, wyjąwszy pułku Malczewskiego, który dla odróżnienia od innych, dał swojemu kurtki paliowe, żupany i rajtuzy zielone.

Piechota przybrana była po niemiecku. Mundur biały, kamizelka i pludry czerwone, na nogach buty, na głowie kapelusz w trzy rogi zastósowany. Broń, karabin z bagnetem, przy boku pałasz krótki: ładownica czarna skórzanna, na pasie łosiowym, żółtą glinką farbowanym, na którą piechotę przekształcili oni piechotę z miast wydanych; szablą, karabinem bez bagnetów i berdyszem w ręku uzbrojonych.

Oficerowie tak konni jak piechotni lśnili się od złota i srebra; w haftowanych mundurach, w czapkach złotem lub srebrem haftowanych, w kapeluszach suto galonowanych, w szarfach na przepych bogatych, z czerwonego jedwabiu i srebra wsiatkę dzierzganych, z kutasem; w szlufach na obu ramionach srebrnych, jako też kurtki i rajtuzy, które od konfederacyi wznowione, stały się strojem wojska polskiego.

Płaca konfederatów: marszałek brał co chciał i prócz tego, jako pułkownik, na miesiąc trzydzieści czerwonych złotych. Regimentarz toż samo, gdyż wybierając podatki przez swoich

oficerów, pierwszym był do nich. Rotmistrz jazdy i kapitan piechoty na miesiąc ośmnaście czerwonych złotych; major oboźny toż samo; porucznik dwanaście czerwonych złotych, chorąży ośm czerwonych złotych; namieśnik sześć czerwonych złotych; wachmistrz na tydzień dwanaście złotych, towarzysz toż samo, kapral ośm złotych, gemein cztery złote, trębacz dwadzieścia cztery złotych; oprócz tego na konie wszystkie szły furaże z magazynów i bardzo często mięsiwa z wołów, z baranów, drobiu na rotę rozdawane były, w marszach zaś wszelka wygoda od wieśniaków i dworów.

XIII. Dyplomaci i jeneralność.

Podczas gdy ludzie gorącego serca i ofiary, bili się i ginęli na polu bitwy i wszelkie siły wyteżali ku odparciu wroga, bawili się niektórzy panowie, obejmujący w większej części główne naczelnictwo konfederacyi, w dyplomatów*).

*) Dyplomatami, zwiemy tych ludzi, którzy w sposób spokojny przez listy i posłów załatwiają rozmaite a nie-raz ważne sprawy pomiędzy królami lub rządami.

I tak Potocki nieustannie konszachty robił z Turcyą, namawiał, prosił aby się ujęła za Polską, co téż nareszcie uzyskał. Turcyja za namową Francyi wypowiedziała wojnę, myśląc, że się cały naród polski porwie do broni i ze swojej strony Moskali bić będzie. Spostrzegłszy jednak że tak nie jest, prześladowali i mordowali Turcy konfederatów, szukających schronienia w ich kraju, wojna zaś spelzła na niczém. Turcy stracili tylko przytém trzy miliony złotych polskich, jakie pożyczył od nich Potocki z Krasieńskim w imieniu Rzeczypospolitej, jako dług państwa. Pieniądze te nie przyniosły téż wielkiej pomocy konfederacyi, bo je marnotrawstwo i niesumienność niektórych tak roztrwonila, że dyplomaci powracający z Tureczczyzny nie mieli za co koni sobie najać, lecz tylko woły zawiozły ich do Węgrzech.

Podczas tego ks. biskup Krasieński, najgorliwszy patryota, ale chorujący nad dyplomate, bawił w Cieszynie na Szląsku, w towarzystwie swego faworyta kanonika Petza. W zbytnej ostrożności swój, aby się nie wydać, kto on jest, mieszkał za miastem w ogrodzie i udawał człowieka bliskiego śmierci w puchlinie. Ztąd rozsyłał błagalne listy do dworów, by się wstawiali za nieszczęśliwą Polską.

Do Krasieńskiego zbiegło się dużo innych

panów, którzy chcąc się w jakikolwiek sposób przysłużyć ojczyźnie, a nie mając ochoty narażać swego życia w bojach, dyplomacyą prowadzili z dworami zagranicznymi i kierowali głównie powstaniem w kraju, przez mianowanie wodzów lub inne rozporządzenia. Nazwali się jeneralnością.

Taka jeneralność siedziała najprzód w Cieszyńcu, a potem w Białej na Szląsku. Lecz gdy raz jednego Moskale za niedobitkami aż w Szląski kraj się zapędzili, przestraszeni dyplomaci prosili powtórnie cesarza austriackiego Józefa, aby im pozwolił jakiego głębszego w kraju swoim schronienia. Cesarz udający zawsze przyjaciela konfederacyi nie odmówił im tego i wyznaczył miasto Preszów (Eperies) w Węgrzech.

Do Preszowa tedy przenieśli się z Białej: Michał Krasiński, Pac, Potocki i inni z Tureczyny oblężeni. A do tych pościgali się później z różnych kątów: Raziwiłł, biskup Krasiński i wielu bardzo innych panów i panów królowi przeciwnych.

Z tamtąd wydawali uniwersały do województw, aby się do konfederacyi, bijącej się w kraju, wiazali. Dobra namowa ale przykład zły, uszedłszy z placu wojny, wołać na drugich: bijcie się. Dajemy wam moc walczenia

z nieprzyjacielem, ale sami nie chcemy wachać prochu, bo to zdrowiu szkodzi.

Taki był sposób myślenia owych panów, składających jeneralność; ztąd jednak pochwały godni, że chociaż serca nie mieli bić się za ojczyznę, to chęć dobrą mieli ją ratować.

Mimo to, że do jeneralności obok zacnych ludzi, przychodzili nieraz tacy, którym szło więcej o tytuły, lub hulankę jak o dobro ojczyzny, była konieczna potrzeba takiego naczelnictwa. W każdej bowiem ważniejszej sprawie musi być ktoś, kto kieruje. Tak i w konfederacyi potrzeba było ludzi, którzyby walczących zaopatrzali w zasoby potrzebne, rozgrzewali obojętnych, zmuszali niechętnych, słowem przysposabiali coraz więcej nowych i świeżych sił do walki.

Wojna partyzancka trwała już drugi rok. Prowadzona z rozmaitem powodzeniem, to przynajmniej zdziałała przez długie trwanie, że ogarnęła wszystkie zakątki ojczyściej ziemi i rozbudziła we wszystkich uczucie obowiązku służenia ojczyźnie.

W całym dotychczasowym prowadzeniu wojny z Moskwą brakło kierującej ręki, jednej silnej organizacyi, któraby rządziła tymczasowo w imieniu narodu, powstającego przeciw swojemu królowi i jego fałszywym przyjacielom.

Tu i tam bowiem trzymały się mniejsze lub większe hufce, pierwszy lepszy ogłaszał się ich marszałkiem, wybierał podatki i na własną rękę robił, co mu się podobało, nie słuchał nikogo i nieuznawał żadnej władzy. Wpływało to bardzo niekorzystnie na cały bieg sprawy.

We wrześniu zatem 1769 r. ogłoszono zjazd powszechny w Glinianach, gdzie wszystkie konfederacye wojewódzkie i powiatowe miały się połączyć w jedną ogólną konfederacyą. Zebrali się tu deputowani i marszałkowie ze wszystkich stron Rzeczypospolitej w liczbie 170. Następnie nie czując się dosyć bezpiecznymi, przenieśli się wszyscy do Białej, miasteczka w kraju austriackim położonego.

Tutaj tedy, w pierwszych dniach listopada 1769 r., podpisali deputowani akt konfederacyi jeneralnej, do której przystąpiła także Litwa i Prusy polskie.

Odtąd więcj było porządku i jedności. Jeneralna konfederacya zniesła i wytępiła snujące się po kraju bandy rabusiów i łotrzyków, postanawiając i ogłaszając, że każdy kto wybierać będzie podatki bez wyraźnego upoważnienia jeneralności ma być uważany za złodzieja grosza publicznego, że zatem każdy mieszkaniec kraju ma nie tylko prawo ale i powinność odmówić mu żądanej kontrybucyi.

a każdy zbrojny może wymierzyć sobie na nim sprawiedliwość.

Zbawienne to działanie jeneralności trwało krótko, bo nie miała zbyt wielkiego poparcia w kraju, nie mogąc zamieszkać w Polsce, a i po zagranicami Polski nie dozwolono jój spokojnego schronienia.

Austria pozwoliła w prawdzie na zjazd w Białej i na tajemne przesiadywanie jeneralności w Cieszynie. Dwór jednak austriacki, dając jój schronienie, nie wyraził przez to prawdziwych swych zamiarów. W postępowaniu austriackiego rządu było widoczne wahanie się — raz łagodnie, drugi raz ostro postępowano z jeneralnością. Chciano i konfederatów wspierać i nie narażać się zbyt mocno Moskwie.

Kiedy wybuchła wojna Turcyi z Moskwą i Katarzynę przyparto silnie, rząd austriacki wyczekując wypadków, nie objawiał publicznie dla konfederacyi ani niechęci, ani téż ochoty do pomocy. Potajemnie zaś czynił obietnice.

Cesarz Józef umyślnie zjechał do Preszowa, udając tylko przejeżdżającego, żeby przez to otuchy dodać jeneralności, a siebie nie narażać zbyt jawnem występowaniem na korzyść konfederacyi. Stał przed domem, w którym jeneralność miała swe sesye. Wszedł do nich rozmawiał z znaczniejszymi osobami o różnych potocznych rzeczach, ale o interesie, dla któ-

regu oni siedzieli w Preszowie, bynajmniej nie wspomnieli; i żeby który z nich nie wyrwał się z prośbą o pomoc, nieprzerwanie ich nowemi pytaniami zagadywał. A po chwilowej téj łasce, nagle wszystkich pożegnał, wsiadł do karety i odjechał. Swoim towarzyszom kazał pozostać trochę za sobą, ażeby wytłumaczyli na dobrą stronę jego milczenie o daniu pomocy konfederacyi polskiej, że ta rzecz potrzebuje jeszcze tajemnicy.

Takiemi rzeczami łudziła się jeneralność. Austria nie myślała jej dać czynnej pomocy.

Po uczynionym akcie konfederacyi jeneralnej, zaczęła jeneralność działać jako rząd narodowy, wysyłając posłów i traktując z dworami europejskimi. Do Paryża wysłano Wielhorskiego, do Stambułu Lassockiego, do Dreżna Roztworowskiego. —

Rząd francuzki postanowił wystąpić czynnie. Ministrem głównym był naonczas Choiseul. Wysłał on w r. 1769 do Polski jenerała, nazwiskiem Traulés, aby się przypatrzył dobrze krajowi i dokładnie się przekonał, jakie konfederaci mogą zebrać siły. Jenerał nie troszczył się bardzo o wypełnienie swego powołania. Wrócił wnet do Paryża, przynosząc jak najniepochlebniejsze zdanie o Polsce.

Pomimo tego minister Choiseul nie odstąpił od swego zamiaru popierania konfede-

racyi i przyrzekł jeneralności pomoc w pieniądzech i ludziach. Pomoc pieniężną oznaczono na 6000 dukatów miesięcznie, a jako pomoc w ludziach wysłał generała Dumourier z pewną liczbą oficerów francuzkich, aby w Polsce urządzali, i dowodzili wojskami konfederatów.

Dumourier przybywszy do Preszowa starał się przekonać jeneralność o koniecznej potrzebie ogólnego planu w działaniu, aby jedne oddziały konfederackie nie przeszkadzały drugim, lecz wszystkie wzajemnie sobie dopomagały. Starał się również uśmierzyć nieporozumienia i swary w samej jeneralności. Przychylny bardzo sprawie polskiej tak czynnie ją popierał u dworu francuzkiego, że do czasu upadku księcia Choiseul tj. do końca r. 1770, otrzymał z Francyi wszystko, co tylko żądał: kredyt, pieniądze i najzdolniejszych oficerów.

Przyjazd generała i zapewnienia o pomocy francuzkiej ożywiły na nowo nadzieje wszystkich. Dotychczas brała udział w konfederacyi po większej części uboższa szlachta, ludzie waleczni i każdej chwili gotowi do ofiary krwi i majątku. Obywalele bogatsi wstrzymywali się już to z obawy spustoszenia dóbr, już téż wskutek większej obojętności dla sprawy narodowej, już téż wreszcie spuszczać się na pomoc obcych dworów. Gdy jednak przybyli w pomoc wysłannicy obcego narodu, gotowi po-

święcić życie dla sprawy polskiej, wstyd ich ogarnął, że przybysze bronią ich ojczyzny, a oni zostają beczynni. Przypasali tedy pałasze walecznych ojców i wyruszyli w pole.

Poczęto prowadzić regularniejszą wojnę łącząc oddziały konfederackie. Gdyby Dumourier mniej był zarozumiałym i mniej zniechęcał wszystkich swym uporem i dumą, gdyby był umiał pozyskać zaufanie marszałków, generałów i wodzów, gdyby był układał mądre i dobrze obmyślane plany i wykonywał je ze zgodą dowódców, byłby mógł wzmocnić konfederacyą, a może wybawić ojczyznę. Lecz brakło tego wszystkiego — świetne nadzieje rozwiały się prawie w okamgnieniu.

Do tego dodać jeszcze trzeba, że marszałkowie, generałowie i wszyscy naczelnicy pojedynczych oddziałów bardzo dowolnie sobie postępowali, od nikogo zależeć i nikogo słuchać nie chcieli. Nieporozumienia gorszące panowały wciąż między nimi, dla tego nie było jedności w działaniach. Wojsko nie otrzymując zapłaty, łupiło wszędzie. Niepodobna zatém, aby w takim stanie rzeczy mogły się udać wszystkie wysilenia.

Dumourier, przegrawszy bitwę pod Częstochową i pod murami Lanckorony, gdzie go tylko Puławski od zupełnej wybawił klęski, złożył dowództwo. Przesłał do jeneralności

memoryał, pełen wyrzutów i niegrzeczności. Wszystkie klęski, jakie poniósł, zwał w tém piśmie na marszałków i wodzów i odjechał do Francyi, przeklinając nie tylko konfederacyę, lecz całą Polskę.

Po jego odjeździe tytuł naczelnego wodza, do którego każdy wzdychał, nadany został Walewskiemu, który sprawował ważny swój urząd energicznie i roztropnie. Mimo klęsk świeżo odniesionych, konfederacya była bardzo silną.

Gdyby jeneralność nie siedziała ciągle jeszcze za granicą i umiała była korzystać z nagromadzonych sił, byłoby powodzenie bardzo świetne. Męstwo bowiem i wytrwałość konfederatów barskich, opuszczonych od swych naczelników głównych, ponoszących klęski, niezrównane trudy, niedostatek i wszelkiego rodzaju cierpienia lub męki, nie opuszczających atoli sprawy wyswobodzenia ojczyzny, było bez granic. Lecz byłoby jeszcze powszechniejsze, gdyby naczelnicy chcieli z nimi dzielić koleje i losy pomyślne i nieszczęśliwe.

Trwożliwa jeneralność siedziała za granicą, bawiła się w rządy, wydawała nieraz sprzeczne z sobą rozkazy, dawała się powodować intrygantom, i nie jeden popełniła błąd, który się nie dał na żaden sposób powetować.

W czasie, kiedy przybył Dumourier i na nowo odżyły nadzieje, postanowiono użyć wszel-

kich sprężyn, by przecież raz doprowadzić sprawę do pożądanego celu. Postanowiono wykonać dawno obmyślany plan: zrzucić z tronu Stanisława, ogłosić bezkrólewie, a tron polski wakujący. Bohusz, sekretarz jeneralności wygotował pismo i skłonił jeneralność, że podpisała akt, przez który Stanisława Augusta za przywłaszczającego sobie tytuł królewski uznają i wzywają, aby się osobiście zjawił przed nimi, a w przeciwnym razie z pod prawa go wyjmują. Akt ten ogłoszono po kraju. Strawiński i dwóch innych konfederatów wręczyli go królowi na zamku w Warszawie.

Byłoby się to udało — gdyby konfederacya była mogła poprzeć ogłoszony akt. Ponieważ jednak nie miała sił po temu, a zawichrzenia i nieład w kraju nie wabiły żadnego pretendenta do polskiej korony, zniechęciła, a przynajmniej dała pozór innym mocarstwom do wystąpienia otwartego przeciw konfederatom, a w gruncie do rozdrapania Polski.

Nadeszła niezadługo ta straszna chwila. Prusy z Rosyą zgodziły się na podział Polski i podpisały akt podziału 6 lutego 1772 roku, w kilkanaście dni później podpisali go cesarz austr. Józef i Marya Teresa.

Dzień 18 kwietnia był dniem sądnym dla jeneralności zgromadzonej w Cieszynie. Z Wiednia przybyła sztafeta, wypowiadająca w imie-

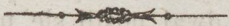
niu ministra austriackiego Kaunitza przytułek w ziemiach austriackich, a co gorsza donosząca o zupełnej zmianie usposobienia austriackiego i o zawarciu układu co do podziału Polski. Zgromadzona jeneralność wśród płaczu i lamentu wysłała Michała Paca do Wiednia, ale nie tam wyjednać nie mogła. Kazano jej wynieść się do Bawaryi. Udali się tedy na tułactwo. Po drodze wydali trzy protestacye przeciwko zaborowi krajów polskich i gwałtom dokonywanym na wolnym narodzie!

Duszą jeneralności, téj naczelnéj władzy konfederackiéj byli Krasiński Michał, brat rodzony biskupa kamienieckiego, marszałek jeneralny koronny, Michał Pac, marszałek litewski i Ignacy Bohusz sekretarz konfederacyi. Wszyscy trzej byli otyłéj tuszy, miernego wzrostu, ale czupurnéj miny, szczególnie Krasiński i Bohusz; pierwszy człowiek przyjacielski, hulaka i żartowniś, drugi pełen wiadomości i nadzwyczaj wymowny. Ale obydwaj ludzie gorący, jakich mało; ci dwaj nosili się po polsku. Michał Pac niepozornéj fizyonomii, ale znakomicie uczony, a tak w obejściu się uprzejmy i słodki, iżby go można było do rany przyłożyć. Pac nosił się kuso z francuzka, w peruce, a charakterem swoim łagodnym mitygował ognistą porywczość dwóch swoich towarzyszy.

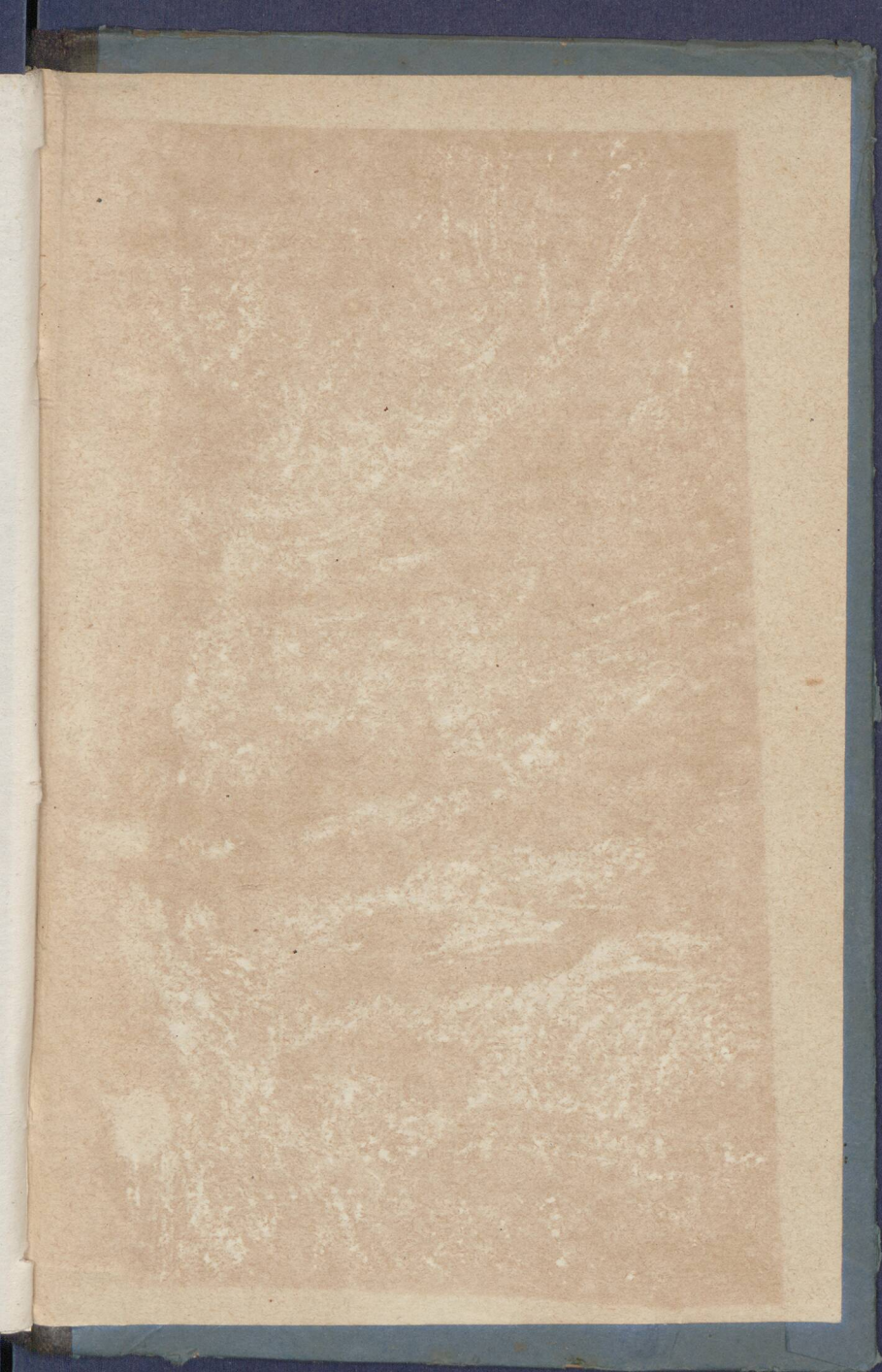
Każdy z tych panów miał jaki taki zapas

pieniędzy, a oprócz tego bankier Brea z Wiednia przysłał im reszty zasiłków pieniężnych francuskich u niego złożonych. Żyła więc jeneralność huczno, po szlachecku, odprowadzając uczty i festyny. A jako szerszenie ciągną do otwartego ula, tak do onych stołów jeneralności nazbierało się z całych Niemczech, gdzie jaki był Polak. Znalazło się tam przeto wielu ludzi, nikomu nie znanych i kilku młokosów, wiercipiętów na nic nie zdatnych i gorszącego życia.

Taki był skład członków jeneralności. Krasziński i Pac pomimo patryotyzmu i wielu innych zalet, byli to wielcy panowie, traktujący nawet sprawę ojczystą po pańsku. Siedzieli za granicą, nieustannie radzili, ale nic nie uradzili. —



6



Tymże nakładem wyszły następujące dzieła:

Anioł Pański, powieść obyczajowa, przez Bakałarza z Lwirodu, uwieńczona na pierwszym konkursie, rozpisany przez W. Konst. Zakrzewskiego. 12 śrb.

Wspomnienia mego ojca, przez Ks. Dalekiego. (wyczerp.)

Żywot Ś. Wojciecha B. i M. przez Ks. Hil. Koszutkiego, z miedziorytem. 7½ śrb.

Dwa procesa czyli: Większa moc Bozka niż złośliwość ludzka, powieść obyczajowa przez Ludw. Leśniowską. 5 śrb.

Szkaplérz Winusa powieść obyczajowa dla ludu wiejskiego, przez Józefa z nad Obry, uwieńczona na drugim konkursie, rozpisany przez W. Konst. Zakrzewskiego. 8 śrb.

Kolęda na każdy rok Pański, przez Ks. J. St.... (wyczerp.)

Żywoty świętych Pustelników w Polsce, przez Ks. Hil. Koszutkiego. 8 śrb.

Husyci w górnym Ślązku, napisał K. Miarka ze Ślązka. 5 śrb.

Żywoty śś. Dziewic: Tekli, Praksedy i Agaty, przez Ks. Hil. Koszutkiego. 4 śrb.

Madry Wach, według opowiadania Jana Grzeli spisał Ks. S. Tomicki. Książka ta zasługuje na jak największe rozpowszechnienie między ludem wiejskim. 10 śrb.

Sąsiedzi na granicy, Opowiadanie dla ludu, osnute na zdarzeniu prawdziwem, przez S. J. 5 śrb.

Żywot Ś. Stanisława, Biskupa Krakowskiego i Męczennika, Patrona Królestwa Polskiego, przez Ks. Hil. Koszutkiego. (Z obrazkiem.) 10 śrb.

Psalterz Dawidowy Jana Kochanowskiego, z ogłoszonych za życia autora i późniejszych przedruków, wydał i objaśnił Ludwik Rzepecki. (Z wizerunkiem Jana Kochanowskiego.) 13½ śrb.